

CZĘŚĆ I **CHAMSARA**

ROZDZIAŁ I

KOLEJ TRANSYBERYJSKA

Pod powiekami zastyga stukot kolejowych kół. Senne kołysanie uspokaja. Górna półka wagonu, wprawdzie niezbyt szeroka, ale jak hamak otula, pozwala bezpiecznie schować się w swoim tymczasowym miejscu na Ziemi. Stanowi namiastkę domu, jest jak ulubiony fotel. Czuję się trochę jak dziecko w kołysce. Póki śpię, jestem bezpieczna. Chcę ten sen jeszcze trochę zatrzymać. W ten sposób szybciej minie kolejny dzień. Która to godzina?

Czas trzyma mnie w swoich szponach. Ciągle patrzę na zegarek. Tak będzie przez następne 4 doby jazdy tym cholernym pociągiem. Po co ja tam jadę...? Mam 43 lata. Zostałam dzieci, dom, znajomy świat, żeby iść za chwilą przez czucia, intuicji, marzenia. Żeby wyrwać się ze szponów czasu. Żeby spróbować przywrócić życiu właściwą relacyjność, odnaleźć podstawowe wartości, sprawdzić, czy potrafię jeszcze nauczyć się najprostszycch praw zgodnych z naturą życia, a gdzieś zagubionych w codziennej bieganinie, pracy.

Czy po to trzeba jechać aż na Syberię? Z jednej strony wyjazd ten jest dla mnie wytęsknioną ucieczką, wyrwaniem się z otaczającego mnie świata, z drugiej natomiast strony odczuwam chwilami paralizujący strach przed nieznanym. Czy dam radę? Czy wytrzymam fizycznie? Aleksander Pietrow, nasz stary przyjaciel z Grodna, podróżnik i kajakarz, próbując ugasić mój lęk przed wyjazdem, powtarzał: „Siła fizyczna to nie wszystko. Ważniejsza jest odporność psychiczna, a ty ją masz”. Ba! Czy aby na pewno? Co będzie, jeśli komuś z nas coś się stanie? Jak odnajdziemy się w tajdze, przez którą mamy się przedzierać w kierunku rzeki? A rzeka? Jaka ona jest i jak damy sobie z nią radę? Mnóstwo pytań – na razie bez odpowiedzi. W takich chwilach z zamkniętymi oczami jak

mantrę odmawiam *Ojcie nasz*. Ta prosta modlitwa z dzieciństwa koi moje skołatanę serce, uśmierza niepokój rozciągnięty na tysiące kilometrów kolejowej traktacji. Przywraca spokój. Może ten wyjazd jest potrzebny także po to, żeby do niej wrócić?

KOLEJNY DZIEŃ W POCIĄGU

Alkohol kupowany na nielicznych stacjach, rozmowy w palarni między wagonami, pogaduszki z *przewodnicami*, kolejka po wrzątek do wagonowego samowara. Siłą rzeczy, rozmowy, które początkowo mają tylko zająć czas, stają się coraz bardziej osobiste. Pod koniec podróży chyba będziemy wiedzieli o sobie już prawie wszystko.

Na któreś ze stacji spotykamy na peronie młodych Polaków. Jadą osiem wagonów przed nami. Łatwo ich rozpoznać – są spontaniczni, hałaśliwi, wesele. Rosjanie nie cieszą się tak ze swoich podróży. Są przyzwyczajeni do przemierzania bezkresnych przestrzeni w celach rodzinnych czy służbowych albo zgodnie z wcześniej przemyślanym zamiarem. Nie ma tu miejsca na spontaniczność. Jest plan, a przestrzeń wpisana jest w ich życie. Rosja jest przecież taka... przestrzenna.

Polacy ci, jak się okazuje, to dwie niewielkie grupki młodych ludzi. Jedna jedzie nad Bajkał, druga do Mongolii. Ta mongolska próbuje dotrzeć do miejsca, które jest uznawane za symboliczny grób Czyngis-chana – syna Błękitnego Wilka. Czyngis-chan, czyli Pan Ziemi, to tytuł nadany Temudżynowi na początku XIII wieku przez *kurultaj* – wiec przywódców mongolskich, tatarskich i tureckich ludów stepowych. Nie wiadomo, czy młodzi turyści z Polski zakończą swoją wędrówkę w miejscu symbolicznego pochówku wielkiego wodza, bo dopuszczają możliwość zmiany planów. Może będzie to jezioro Chubsuguł, a może coś jeszcze innego. Jadący z nami Jan – Białorusin z Grodna – jest przerażony. Przecież to dzieci! Jadą bez planu, nie wiedzą dokładnie, gdzie. Co z nimi będzie? Jak sobie dadzą radę w obcym kraju?

– Dadzą, Jan. Na pewno sobie dadzą radę – tego akurat jestem pewna.

DD z nostalgią patrzy na ich podekscytowanie i żywiołowość. Jeszcze niedawno był taki jak oni. Wsiąść do pociągu byle jakiego, rano realizować pomysły, które urodzą się w nocy, być wolnym i swobodnym.

A my? Każdy z nas od 2 lat myślami kołował wokół tej podróży. Planował, marzył, rozmawiał, dobierał, mierzył, ważył, ustawiał pod kątem wyjazdu pracę zawodową.

Żeby wygospodarować miesiąc wolnego, trzeba się było nieźle pogimnastykować, pozamykać setki drobnych spraw. Jak gdyby życie składało się tylko z różnego rodzaju terminów, obowiązków, rachunków, papierów, które trzeba wypełnić, spraw, które trzeba załatwić – jakby nie było nic ważniejszego. I WŁAŚNIE DLATEGO JADE. Moje dzieci, kiedy namawiały mnie na ten wyjazd, dokładnie to rozumiały.

Tymczasem w pociągu dosiada się do nas dwóch dziwnych indywiduów. Jeden o twarzy Azjaty, drugi Rosjanin. Obaj są pijani, prowokują rozmowę. Rosjanin ma na ramieniu wytatuowany slogan *NO FUTURE*, jest ubrany w koszulkę z *Grażdanską Oboroną*.

– To zespół metalowy. Najlepszy w Rosji – tłumaczy nam po rosyjsku.

Właściciel koszulki po prostu jeździ pociągiem. Jego siostra jest *przewodnicą*, on sam nie pracuje. Trochę handluje. Mieszka w Czycie za Bajkałem. Pracy nie ma. Nadziei też. *No future!*

Drugi, o azjatyckich rysach i licznych krostach na twarzy, też pochodzi z Czyty. Był drwalem, ale praca już się skończyła. Teraz jest *przewodnikiem* w sąsiednim wagonie. *Szczęściarz*. Swoją dyżur zaczyna od poniedziałku, w niedzielę – pije. Mam dość oparów alkoholu. Podróż transsybem to swoiste doświadczenie, zwłaszcza wagonem *plackartnym*. Mamy ze sobą dużo bagaży, podróż samolotem byłaby dla nas po prostu za droga. *Plackartnyj* określan jest jako „wagon sprzyjający integracji”. Nie ma tam oddzielnych przedziałów, ale każdy pasażer ma miejsce leżące – nawet dość wygodne. W wagonie Kolei Transsyberyjskiej jedną z najważniejszych rzeczy jest samowar z gorącą wodą. Niebagatelna to rzecz, wzięwszy pod uwagę, że spędza się w pociągu kilka dni (dobrze, że nie jedziemy do Władywostoku czy Pekinu). Można zaparzyć herbatę, kawę czy gotowe danie jednorazowe.

Ludzie w wagonie rozmawiają ze sobą, grają w karty, w szachy. Obowiązkowo wychodzimy na wszystkich większych stacjach, żeby rozprostować nogi, kupić coś świeżego do jedzenia czy wziąć szybki prysznic z peronowej pompy.

Dwudziestominutowe postoje mniej więcej co 500 kilometrów pozwalają odetchnąć od dusznej atmosfery pociągu. Każdy wagon ma swojego opiekuna, zwanego przez Rosjan *prowadnikiem* lub *prowadnicą*. *Prowadnica*, bo częściej jest to kobieta, ma za zadanie dbać o czystość, zwracać uwagę na to, by samowar był zawsze gorący i pilnować pasażerów, żeby wracali do wagonów na stacjach, na których można na chwilę z nich wysiąść. Generalnie pilnuje porządku, o 23.00 gasi światło. Kiedy wchodzę do kanciapy naszej *prowadnicy* – sympatycznej młodej blondynki – przecieram oczy ze zdumienia. W jej rękach widzę książkę. Sylabizuję po rosyjsku nazwisko autora. Nie, to niemożliwe. Ta młoda dziewczyna czyta *Ferdydurke* Gombrowicza. W trakcie rozmowy okazuje się, że Katia (bo tak ma na imię) na co dzień jest studentką Wydziału Lingwistyki uniwersytetu w Krasnojarsku. Przez wakacje zarabia na studia jako pracownik kolei. Uczy się języków. Musiała wybrać jakiś dodatkowy język słowiański, zdecydowała się na polski. Języka oraz polskiej kultury i literatury uczy ją pan Dariusz – oddelegowany z Uniwersytetu Łódzkiego do pracy w dalekim Krasnojarsku. Gombrowicza czyta na razie w przekładzie rosyjskim, bo jego język jest jeszcze dla niej za trudny, ale jest nim zafascynowana. Pyta, czy też uważam, że to najważniejszy polski pisarz.

– Katia, a chciałabyś pojechać do Polski?

Katia odgarnia z czoła kosmyk włosów:

– Bardzo bym chciała zobaczyć Kraków. To moje marzenie!

Opowiada mi, co już wie o Polsce, a ja nie mogę wyjść ze zdumienia (z radości również), że w dalekim, oddalonym od naszego kraju o 4,5 tysiąca kilometrów Krasnojarsku grupa młodych Rosjan uczy się języka, poznaje kulturę i literaturę polską, marzy, żeby zobaczyć Kraków, Warszawę. Zostawiam Katii list do pana Dariusza i trochę materiałów o Augustowie. Na jej wyobraźeniowej mapie Polski, poza Krakowem, Warszawą i Łodzią, będzie teraz istniało również moje niewielkie miasto. Katia opowiada o sobie. Pochodzi ze wsi pod Abakanem.

– Ta wieś mnie dusiła – mówi. – Chcę się uczyć, bo to szansa na inne życie, inne myślenie.

Według niej rosyjska wieś to destrukcja, beznadzieja, pijaństwo. Niewielu potrafi się temu przeciwstawić i walczyć o lepsze życie. Trzymam kciuki za Katię.

W wagonie, obok nas, jedzie siedemdziesięcioletni Czecheniec. Jest coś surowego i dumnego zarazem w jego twarzy, jak u wszystkich ludzi gór zaciętej, osmaganej wiatrem i słońcem. Na wsi pod Groznym człowiek ten stracił na wojnie całą swoją rodzinę. Został sam jak palec. Próbował zająć się, jak wcześniej, pasterstwem, ale łąki i doliny są zaminowane. W ten sposób zginęło jego dwóch sąsiadów. Zostawił więc swoją ziemię, a teraz włóczy się po Rosji od znajomego do znajomego. Do Czechenii nie chce wracać. Kiedy ściagam z półki swój wielki plecak, wyszczerza białe zęby w uśmiechu:

– *A eto szto?* Całego swojego życia nie zapakujesz.

Całego życia nie, ale pewne rzeczy, które mi je przypomną, ułatwią. W plecaku wiozę fragment swojego domu, a w drogę powrotną zabiorę fragment Syberii: kamienie, zasuszone rośliny, bęben szamana, fotografie – pamiątki z podróży.

Za oknem jednostajny rosyjski krajobraz, z rzadka urozmaicony ogromną rzeką, nad którą przejeżdżamy, czy miastem.

Przy każdym przystanku ten sam obrazek. Przytorowy targ. Sprzedawcy z *pielmieniami*, owocami, piwem, lodami. Odkręcona pompa z wodą i zimny *dusz* dla moich zmęczonych i wymiętych kolegów.

Pod koniec podróży jesteśmy zaprzyjaźnieni ze współpasażerami z wagonu. Starsza kobieta z przedziału Darka, czule nazywana przez niego mamą. Młoda lekarka wracająca z wycieczki do Paryża:

– *Och, kak tam krasiwá.*

Ilość czasu spędzonego w pociągu z Moskwy do jej domu w Krasnojarsku jest taka sama jak długość wycieczki objazdowej po Francji, ale było warto.

Młoda dziewczyna – Natalia – wioząca maleńką suczkę sznaucera od kawalera:

– Czempion – mówi.

Staruszka jadąca do córki oddalonej o 4 tysiące kilometrów oraz początkowo nieufna i surowa kobieta, jak się okazuje, funkcjonariuszka jakichś rosyjskich służb wracająca z delegacji w Moskwie. Wszyscy machają nam przyjaźnie

na pożegnanie, niektórzy mają łzy w oczach. Ludzie szybko się do siebie przyzwyczajają. Jeszcze kilka dni i byśmy ich spolonizowali – żartujemy. Ludzie są jedynym antidotum na ciągnący się tysiącami kilometrów jednostajny krajobraz, na dni i godziny ginące w stukocie kół.

Pociąg, pociąg, pociąg. Za oknami przestrzeń. Można dostać agorafobii. Jedynym niewielkim urozmaiceniem jest krótka chwila, kiedy przejeżdżamy przez Ural. W tym miejscu to tylko niewielkie zmarszczenie terenu i świadomość, że przekraczamy symboliczną granicę kontynentów. Jesteśmy w Azji. A więc tak wygląda Syberia? Czuję się trochę rozczarowana...

Wyobrażałam ją sobie dziecinnie jako groźną, bezkresną, nieprzebytą tajgę, a tymczasem to olbrzymie pustkowia, jałowy step. No tak, ale przecież najpierw musimy przejechać przez Nizinę Zachodniosyberyjską. Przestrzeń z jednej strony niezmiernie, z drugiej – tak przytłaczająca wielkością, że czujesz, jak ci zapiera dech w piersi i nie masz jak oddychać.

Za oknem interesujący jest tylko teatr chmur. Bawię się, przekształcając je w wyobraźni w różne fantastyczne postaci. Nieliczne osady mijane wzdłuż linii kolejowej budzą przygnębienie, poczucie ruiny ludzkiego losu, tymczasowości.

W Jekaterynburgu (na dworcu nadal widnieje napis Swierdłowski) zdumiewa mnie, że nie zmieniły się tu nawet napisy sowieckie. Siergiej z Janem i Wołodką odkręcają na peronie hydrant. Zimny *dusz* w niekompletnym ubraniu.

Kolejne 12 godzin i w Barabińsku na peronie kupujemy wędzone sażany. To dzikie jeziorowe karpie łowione przez miejscowych i przygotowywane w rozmaity sposób. Wędzone na zimno, na ciepło, smażone, w occie – w każdej postaci są przepyszne. Aż dziw bierze, jak wielu ludzi żyje i zarabia dzięki Kolei Transsyberyjskiej.

Miejscowe kobiety w płaszczach przeciwdeszczowych (siąpi mżawka) chodzą wzdłuż pociągu z koszykami, zachwalając swój towar. Mają *pielmienie*, sery, naleśniki, chleby, owoce, alkohol. Wielka targowica, która formuje się z okazji mającego nadjechać właśnie pociągu i znika natychmiast po jego odjeździe. Pokażny zastrzyk dla domowego budżetu.

Po 4 tysiącach kilometrów krajobraz nieco się zmienia, fałduje, pojawiają się niewielkie górki. Pociąg skręca. Wychylając się z okna, można zobaczyć jego długie cielsko wijące się jak wąż.

Jesteśmy 4647 kilometrów od Moskwy. Niżnyj Udinsk. Czuję się niewielkim pyłkiem w ogromnej masie podróżujących ludzi. Pociąg, ruszający zbyt szybko z powodu spóźnienia i konieczność wskakiwania w biegu przyprawiają mnie o skurcz żołądka. Co bym zrobiła w tym szarym mieście, utkany na ogromnej polaci Rosji, sama, bez paszportu i pieniędzy? Z sympatią patrzę na współtowarzyszy. Jak dobrze, że oni są ze mną. Nawet znajome twarze współpodróżnych i *proownic* budują poczucie bezpieczeństwa. Czy pociąg może być chwilową małą ojczyzną?

OBRAZKI Z POCIĄGU

D arek liczący i nadaremnie poszukujący butelki białoruskiego Petrova 0,75 l (to oczywiście wódka). Zniknęła! Coś mu się nie zgadza.

Bułak przeslizgujący się rączym krokiem pod wagonami stojących na stacji pociągów z torbą zakupionego gdzieś piwa.

Wołodzia czarujący *proownicice*. Nasz *diplomata*, jak go z sympatią nazywamy. Ten nie ma wątpliwości, kim jest. „Białorus” pełną gębą, rzygający krytyką porządku, w którym żyje. Ale kocha kobiety, chociaż w prywatnym życiu mu nie wyszło. Samotnie wychowuje dwie dorastające córki.

DD i Andrzej – jeden bez przerwy przegrywa, drugi wygrywa w karty.

Marek ze swoją wiedzą na temat mijanych miejsc i biegu historii (jak on to wszystko pamięta?). Z beznadziejnym uporem usiłuje przekonać Białorusinów o niebezpieczeństwach drzemających w postsowieckim myśleniu.

Jan, podekscytowany, nie wierzący, że jeszcze raz jedzie w tym kierunku. Gdzieś w tle zniknęły jego dylematy związane z samookreśleniem. Kim właściwie jest? Na wpół Białorusin, na wpół Polak, żona Rosjanka z całym dziedzictwem niechęci do takich wywodów. Dla Jana nic nie jest jasne: nazwisko Kołontaj; język polski, którym nieźle się posługuje; ale dusza pogmatwana, z częścią białoruską, rosyjską i polską. Któregoś dnia odważnie i z determinacją informuje nas o swojej decyzji.

– Myślałem o tym długo i, wiecie, ja nie jestem Polakiem. Nie czuję się Polakiem. Urodziłem się na Białorusi. Więcej we mnie Białorusina, a właściwie Rosjanina, bo co to Białoruś. Tylko nędzny fragment byłego imperium.

Szanuję jego wybór, chociaż smutno mi, że pobrzmiwa w nim tęsknota za imperium. Teraz jest dumny tylko z szerokiego kraju, przez który jedziemy.

I w tej całej kałabani ja – pełna wątpliwości, ciekawości, łąpczywie wszystko chłonna i mrużąca wieczorami *Ojczy nasz*.

Piąty dzień podróży pociągiem. Irkuck.

Zanim wybudowano Kolej Transsyberyjską, mniej więcej tę samą trasę przemierzało setki, tysiące zesłańców z całego carskiego imperium. Na szlaku rozmieszczone były niewielkie więzienia etapowe, w których – jeśli do nich doszli – spędzali noc. Szli głównie piechotą w grupach około pięćdziesięcioosobowych, z pilnującymi ich strażnikami. Cała podróż, na przykład z Kijowa do Irkucka, trwała około 17–20 miesięcy w zależności od kondycji zesłańców. A my przemierzamy ją w niecałe 4 doby. I jedziemy z własnej woli. Teraz już nie odstępujemy od okien. Jeszcze tylko 130 kilometrów i wysiadamy. Wszyscy w napięciu czekamy na widok choćby skrawka „świętego morza Buriatów” – Bajkału. Dopiero teraz pojawiają się naprawdę interesujące widoki. Granatowe szczyty gór rozsiadły się jak kopy, a kolej wije się przez nie, pomyka tunelami, zawija i kręci.

Kiedy z sąsiedniego zbocza, z tunelu wydrążonego w górze, nadjeżdża z północy pociąg Kolei Krugobajkalskiej i mijamy się w sąsiadujących ze sobą kolejnych tunelach, mam wrażenie, że przenieśliśmy się na makietę ernerdowskiej kolejki Piko – marzenia wielu pokoleń dzieci. *Déjà vu*. Już kiedyś się w to bawiłam.

Za chwilę dostrzegamy zachodni brzeg Bajkału. Czuję wzruszenie. Zawsze lubiłam przyglądać się mapie – Bajkał stanowił duży niebieski półksiężyc północno-wschodniej Azji, otoczony pomarszczonymi kreskami gór. Od zawsze budził moją estymę. Poza tym wiąże się z wieloma naj... Największy zasób słodkiej wody na świecie (22%), największa kryptodepresja (jego głębokość to ponad 1600 metrów), magiczny kawałek świata.

Przyglądam się swoim kolegom. Wszyscy w skupieniu przyklejają nosy do szyb. Dziwne wzruszenie, ciekawość, radość... To nie sen czy złudzenie... to naprawdę Bajkał. Radość podróży. Przypominają mi się nazwiska polskich badaczy Bajkału: Wiktor Godlewski, Benedykt Dybowski, Jan Czerski, Aleksander Czekanowski i wielu innych, którzy zesłanie wykorzystali w pożyteczny

dla nauki sposób. Wiele im ten rejon zawdzięcza. Doceniła to nawet Rosyjska Akademia Nauk, przyznając im tytuły i medale.

Sludianka (tu kończy się nasza podróż transsybem) wita nas wędzonymi omulami. To endemiczny, jedyny w swoim rodzaju specyfik, który występuje tylko w tym rejonie świata. Ryba rozpływa się w ustach. Jeden ze smaków Bajkału.

Budynek dworca przypomina mi ten w Augustowie, ale zbudowany jest z białego marmuru.



ROZDZIAŁ II DROGA DO TUWY

Pociąg odjechał. Przez tyle dni w nim spędzonych jako przyzwyczajaliśmy się do jego rytmu i teraz cisza i pustka, które zapanowały na stacji, aż kłują. Nasze bagaże stanowią dość okazałą kupkę bambetli. Mam wrażenie, że nie bardzo wiemy, co ze sobą zrobić. Póki co, idziemy na rekonesans, a Jan usiłuje zdobyć informacje o możliwościach dalszego przemieszczania się, tym razem na południowy zachód.

Bajkał z bliska jest uśpiony, zamglony, surowy. Aż po horyzont otoczony koronką gór.

Gdybym nie widziała wcześniej slajdów Piotрка Malczewskiego, pewnie czułabym się rozczarowana. A tak wiem, że to tylko namiastka oblicza tego wielkiego jeziora. Niech śpi.

Na Bajkale wszystkie wiatry mają swoją miejscową nazwę. Najczęściej nazywane są od imion rzek, z ujścia których wieją. Są więc wiatry: *barguzin*, *selenga*, *angara*. Z południa, z Zatoki Kułtuckiej, wieje *kułtuk*, a najsurowszy i najgroźniejszy wiatr wiejący z północy nazywa się *siewier*. Dziś jednak wszystkie wiatry śpią.

Przeskakujemy po skałkach, moczymy ręce. Gładzę piesszczotliwie powierzchnię wody. Śpijcie, dobre duchy Bajkału, jakkolwiek byście się nazywały.

Jezioro – bezmiar sinej, prawie nieruchomej wody. Ciekawe, jak wygląda, kiedy jest wzburzone albo kiedy pokrywa je dwumetrowa warstwa lodu? Czy wtedy też panuje taka cisza?

Szkoda, że widzimy je tak krótko i tylko z tego kawałeczka kamienistego wybrzeża.

Dziwny obrazek. Bułak, mający prawie 2 metry wzrostu chudzielec, wchodzi do sinej, nieruchomej wody – zanurza się po pas, sam robi się siny z zimna. Jego tors odbija się w wodzie, dodatkowo przedłużając sylwetkę. Skulone ramiona sprawiają wrażenie, że jest jeszcze chudszy niż w rzeczywistości i w bezmiarze nieruchomego jeziora wygląda trochę jak ogromna, surrealistyczna zapałka.

– Marzyłem, żeby wykąpać się w Bajkale – mówi.

Na nas czeka Chamsara. Po wyjściu z pociągu wydaje nam się już być blisko i w zasięgu ręki. Za sobą mamy już przecież ponad 6 tysięcy kilometrów. Za to złudzenie bliskości i dostępności przyjdzie nam drogo zapłacić.

Na kamieniach siedzą dwaj rośli mężczyźni. Na owłosionym torsie jednego z nich błyszczą złote łańcuchy.

– Skąd jesteście? Przyjechaliście nad Bajkał i co? – pytają. A u nich, w Kraju Altajskim, ładniej.

Przyjechali tu zobaczyć Bajkał, trochę powczasować, za kilka dni wracają do siebie. Opowiadają o szczytach pokrytych śniegiem, rwących rzekach płynących wśród drzew owocowych, pełnej sytości altajskiej ziemi. Hmm... Wyłania się z tego jakaś idylla. Wręcz podejrzana. Pojedziemy, sprawdzimy. Ale nie teraz. Zmieniamy wartę przy bagażach. Targi z kierowcą busa nie wróżą nic dobrego. Czekamy. Nieoczekiwane przypadkowa rozmowa na pobliskim posterunku policji przynosi jakiś skutek. Jeden z młodych policjantów oferuje się nas zawieźć o 15.00, jak skończy służbę. Ma japoński używany bus nieznanej proveniencji. W tych okolicach samochody używane ściągają z Japonii, przez Władywostok. Trudno, żeby jechały tu z Europy. Do Japonii znacznie bliżej. Umawiamy się, że zawiezie nas do miejscowości Mondy w Buriacji – to, jak twierdzi, połowa drogi do Orlika.

Niech będzie, byle ruszyć dalej. Sludianka tchnie marazmem. Gdzie ci wszyscy ludzie, co tu mieszkają? Nieliczni nie sprawiają dobrego wrażenia, a obserwowana przez chwilę ich praca przy wznoszeniu niewielkiego budynku, może WC, przyprawia Marka o ból głowy. Wszystko byle jak, niechlujnie i krzywo. Policjanci na odchodne straszą nas Sojotami – Tuwińcami:

– Po co tam jedziecie? Zabiją was tylko i tyle, to źli ludzie.

Ściany korytarza posterunku policji obwieszono są listami gończymi osób poszukiwanych za morderstwa, gwałty i rozboje. Twarze te są mroczne

i nieprzyjazne, ale przecież to nie jedyny obraz ludzi, którzy tutaj mieszkają. Jakoś tak jest, że często zachwycamy się dalekim światem, a najbliższych sąsiadów nienawidzimy. Pokręcona ludzka natura. Pakujemy bagaże i szczęśliwi ruszamy dalej.

To śmieszne, ale nie wiem, do czego dokładnie dążymy. Uwodzi nas sama droga. Co jest naszym celem? Jeśli punkt, to bardzo enigmatyczny. Darek jednak nie ma wątpliwości:

– No jak to? Przecież Chamsara.

Rzeka stanowiąca dopływ Jeniseju, a potem sam Jenisej. Taki jest z grubsza plan, tylko najpierw – trzeba dotrzeć do rzeki. OK! Jedziemy gdzieś w kierunku Chamsary.

Kiepska pogoda, siąpiący deszcz, mgła zasnuwająca odległe o kilka kilometrów szczyty zasłaniające dolinę sprawiają, że świat nie wygląda zbyt pięknie. Gdzieś w dali mijamy Tunkę. Kolejna miejscowość, która – podobnie jak Sludianka – przewijała się we wspomnieniach XIX-wiecznych zesłańców. Zesłańcem w okolicach Irkucka był między innymi Józef Piłsudski.

A swoją drogą, pomnikowa postać Marszałka, odświeżana przy okazji rocznic narodowych, całkowicie przyćmiła zapomnianego dziś Bronisława Piłsudskiego – nietuzinkową postać, której życiorys to gotowy scenariusz filmu przygodowego. Wybitny badacz ludów Dalekiego Wschodu, etnograf, kustosz Muzeum Regionalnego we Władywostoku zafascynowany ludem Ajnów zamieszkujących wówczas Wyspy Japońskie, Sachalin i Wyspy Kurylskie. Zesłany za działalność rewolucyjną do miejscowości Rykowskoje na Sachalinie, poświęcił lata swojego życia na badanie zwyczajów Ajnów. Fascynacja nimi była tak silna, że w 1902 roku, już dobrowolnie, zamieszkał wśród nich na Sachalinie i poślubił siostrzenicę jednego z ajnoskich wodzów. Miał z nią syna i córkę. Do dziś żyją jego ajnoscy krewni.

Jeśli chodzi o Ajnów, to trudno określić pochodzenie czy pokrewieństwo tego tajemniczego ludu z jakąkolwiek grupą etniczną. Według nich samych przybyli na Ziemię z kosmosu. Uważa się, że antropologicznie Ajnowie są przedstawicielami europeidów. Byli pierwotnymi mieszkańcami Wysp Japońskich, Sachalinu i Wysp Kurylskich. Późniejsi przybysze, Japończycy i Rosjanie, bezwzględnie ich tępiłi i prześladowali. Oryginalną kulturę tego ludu, wyznającego kult niedźwiedzia,

świat zna właśnie dzięki badaniom Bronisława Piłsudskiego, utrwalonym nawet na pokrytych woskiem walcach fonografu. Etnograf opuścił Sachalin na zawsze w 1905 roku, po wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej, i po wielu perypetiach osiadł w Zakopanem. Opracowywał materiały dotyczące Ajnów, badał folklor polskich gór, brał udział w tworzeniu Muzeum Tatrzańskiego. Po wybuchu I wojny światowej, kiedy Rosjanie zbliżali się do Krakowa, uciekł na Zachód i w końcu osiadł w Paryżu, gdzie w 1918 roku popełnił samobójstwo, rzucając się do Sekwany. Może nie potrafił sobie poradzić z tęsknotą za tymi dzikimi i surowymi krajami? Mocno zniszczone nagrania fonograficzne Piłsudskiego znaleziono w 1930 roku na strychu domu w Zakopanem. Przewieziono je do magazynu Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W latach 80. XX wieku trafiły do Japonii, gdzie woskowe wałki poddano starannej konserwacji, dzięki czemu udało się odtworzyć te historyczne nagrania. Zapisy Piłsudskiego posłużyły jako podstawa do rekonstrukcji kultury muzycznej tego ginącego ludu. Fascynujące! Bronisław Piłsudski jest bardziej znany w Japonii niż w Polsce.

A kim są, jak żyją Sojoci, przed którymi ostrzegali nas policjanci ze Sludianki? Przez wiele lat źródło etnograficznej wiedzy o tym ludzie stanowiły zapiski innego zesłańca – Feliksa Kona, zawarte w 3. tomie jego wielotomowego dzieła *Przez pięćdziesiąt lat*. Zawierały one wszystkie spostrzeżenia Kona z ekspedycji do Kraju Sojotów. A może nam uda się ich spotkać? Ile dóbr, wartości i różnych elementów kultury zostało uśmierconych lub ginie powoli? Podobno w ciągu tylko XX wieku z powierzchni ziemi zniknęło bezpowrotnie 300 języków. Pierwotne kultury, pielęgnujące prastarą wiedzę, zwyczaje i instynkty, a także dziewicze połączenie staruszki Ziemi stają się towarem deficytowym. Tym cenniejsza jest dla mnie nasza podróż.

Zatrzymujemy się na jakimś przydrożnym parkingu. Na krzaku karłowatej wierzby smętnie powiewają różnokolorowe *hatyki* – wstążki mające przebłagać złe duchy i zapewnić szczęśliwą podróż. Jeśli kondycja tych duchów jest równie kiepska jak jakość brudnych skrawków materiałów, to chyba nie ma czym się przejmować. Nasz kierowca nie zwraca na nie zbyt dużej uwagi. Przed nami długa i szeroka dolina. Cieszymy się, że jedziemy, śmiejemy się, świat umyka spod kół, na razie nie czujemy żadnej egzotyki. Rzeczywistość da o sobie znać pod koniec tej jazdy. A tymczasem krajobraz robi się ciekawszy. Wjeżdżamy w góry. Szkoda

tylko, że otacza nas mgła. Wspinamy się wyżej i wyżej, potem następuje ostry zjazd i nagle w dole pojawia się rzeka. To Irkut. Zatrzymujemy się na chwilę – by rozejrzeć się dookoła, wyprostować nogi – i ruszamy dalej, jak się okazuje, do najbliższej i jedynej na tej trasie stacji benzynowej. Stacja budzi nasz zachwyt. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam. Jeden dystrybutor, w dodatku na korbę. Chłopcy zmieniają się przy kręceniu, ale i tak nie chroni ich to przed spływającym po plecach potem.

Na budce napis: *Nie kurit!* – jednak papieros nie znika z ust pracownika stacji, który cierpliwie stoi nad dystrybutorem, przyglądając się bez emocji naszym wysiłkom. Odpala jeden papieros od drugiego, przydeptując pety nogą. Nie chcę myśleć, co by było, gdyby...

Na drugim końcu niewielkiego placyku stoi rozwalający się kibel i niedokończony ogrodzenie z siatki. Prawdziwe krańce imperium. Zresztą, środek też nie wygląda najlepiej. Tankujemy i w drogę. Jeszcze chwila i na dzisiaj podróż dobiega końca. Szkoda. Chyba droga weszła nam już w krew.

Wieczór. Wsiadamy na jakimś ubitym placyku pośrodku wsi Mondy, która sprawia przygnębiające wrażenie. Dobrze, że rzeka jest obok – w jakiś sposób woda niesie ze sobą nadzieję.

Wieś jest dosyć rozległa. Syberyjskie chaty, w większości ogrodzone szczelnymi palisadami, rozwalają się i są łatane byle czym. Palisady sprawiają wrażenie, że runą, jak się o nie oprę. Z gór musiała do Irkutu płynąć kiedyś (może rok, może 2 lata temu) duża woda. Widać jeszcze na ziemi jej ślady – naniesione kamienie, wypłukane przez wodę resztki gałęzi. Na placyk przyjeżdża rozklekotany bus, który ma całkiem łyse opony. Wytaczający się z niego Buriat jest wyraźnie pod wpływem alkoholu, proponuje przejazd, żąda dużo pieniędzy, straszy, że nic innego nie znajdziemy – on już się o to postara. Mówi coraz głośniej, wymachuje rękami.

Bierzemy go na przeczekanie. Białorusini idą rozejrzeć się po wsi, my zostajemy przy bagażach, pod rozwalającą się palisadą.

– *Wot, popadli my w kurort* – Darek trafia w sedno. Sytuacja nie nastraja optymistycznie.

Oj, napiłoby się kawy. Litościwa ręka zza palisady podaje garnuszek z wrzątkiem. Może nie będzie tak źle? Wołodka, nasz naczelny uwodziciel i *diplomat*,

woła nas do chaty za strumieniem pod górą. Jest nadzieja. Targamy bagaże, Wołodzia rozmawia z gospodarzem. Robi się coraz ciemniej, a on o teściowej, dzieciach, ciotkach...

– Wołodka, nocy zabraknie na całą buriacką rodzinę.

Jesteśmy już bliscy dogadania się w sprawie transportu na jutrzejszy dzień, gdy nagle nadjeżdża swoim wytartym busem pijany Buriat. Wyczuł życzliwość gospodarza. W pośpiechu zabieramy z jego drogi nasze bagaże. Sukinsyn, przejechałby i po nas, gdybyśmy mieli słabszy refleks. Podjeżdża i straszy, wykrzykuje coś po buriacku, naciska na gaz i w oparach spalin odjeżdża. Gospodarz tłumaczy:

– Jak was zawiozę, podpali mi dom.

No cóż! Szukamy miejsca na nocleg, może jutrzejszy dzień będzie nieco życzliwszy? Wspinamy się w górę, do ruin spalonej strażnicy. Jesteśmy na granicy mongolskiej. W Mondach jest przejście graniczne między Federacją Rosyjską a Mongolią. Niestety, tylko lokalne, dla miejscowej ludności. Pamiętam relację rowerzystów z Francji, którzy przypedałowali tu z Irkucka tylko po to, żeby się dowiedzieć, iż do dostępnego dla nich przejścia mają jeszcze 1,5 tysiąca kilometrów. Chociaż nadrobili co najmniej 600 kilometrów, nie było tu żadnego „zmiłuj” – z Rosjanami w mundurze nie ma co dyskutować. Rozbijamy namioty w ruinach spalonej strażnicy. Nowy punkt straży zbudowano nieco wyżej, ale na razie go nie widzimy. Rozpalamy ognisko. Krajobraz wygląda dość upiornie, przynajmniej ten widziany w perspektywie kilkunastu metrów. Zniszczone stanowiska karabinów maszynowych, ruiny betonowej budowli, resztki słupa elektrycznego. Natura powoli oswaja ten fragment przestrzeni. Decyzja: trzymamy wartę. Zbyt dużo się tu działo, lepiej mieć się na baczności. Kładę się do namiotu. Za chwilę słychać warkot silnika samochodu pnącego się pod górę. To Buriat-furiat.

– Nikt ze wsi z wami nie pojedzie, decydujcie się teraz, bo rano cena będzie jeszcze wyższa! – krzyczy po rosyjsku.

Chłopcy grzecznie odmawiają. Porozmawiamy jutro. Tej nocy jeszcze trzykrotnie będzie do nas przyjeżdżał, coraz bardziej pijany, coraz bardziej agresywny. W końcu alkohol wziął górę, Buriat padł – najprawdopodobniej gdzieś w swojej, a może nie swojej chałupie.

Marek kładzie się obok mnie. Jak to dobrze, że jesteśmy razem. Od 21 lat naszego małżeństwa zawsze był dla mnie ostoją bezpieczeństwa i choćbyśmy byli na krańcu świata – razem nic nam się stać nie może. Zasypiam, ufnie wtulona w jego ramię. On nie. Po godzinie przewracania się z boku na bok wychodzi do trzymających wartę i z nimi oczekuje na swoją kolej. Mnie dają fory. Mogę spać. Mam dziś ten cenny przywilej. Jak to dobrze być kobietą!

O godzinie 3.00 nad ranem Marek zarządza:

– By podnieść morale ekipy, gotujemy grochówkę.

W każdym razie jest to jakieś konkretne działanie. Krzątania wokół ogniska. Ruch. Zwyczajne, rutynowe, a jednak magiczne czynności wokół *kaunicy* – czyli po prostu spłaszczonego garnka wiszącego nad ogniskiem. Wydobywające się z niego zapachy, aromaty i poezje sprawiają, że świt rozjaśnia nie tylko ziemię, ale i wątpliwe serca.

Wstaje nowy dzień.

Powoli rozchmurzają się góry. Świadomość ich bezkresu i otaczającej mnie ziemi nieskażonej asfaltem i budowlami z betonu otwiera serce. Wszystko jedno. Mogę iść nawet piechotą. A i Burchan – duch tutejszych gór – jakoś w lepszym humorze. Mgła się podnosi.

Jak z nieba spada na nas GAZ 66. Może nie całkiem z nieba, a z buriackiego podwórka, ale nie ma co narzekać. Wprawdzie bak trzeba zakleić wyżutą gumą do żucia (*żuwaczka u was jest?* – kierowca to prawdziwy „pomysłowy Dobromir”), oczyścić pakę z dwuletniej warstwy niebytności pojazdu w ruchu, ale... DZIAŁA! Można jechać. I jak tu nie wierzyć w sprzyjanie losu?

Słońce i kilometry uciekające pod kołami. Jedziemy doliną Irkutu, doliną syberyjskiej Oki, a potem jej dopływu – Senczy. Trzęsie. Kurz drogi w oczach, uszach, ustach. Smak przygody. Mam ochotę wrzeszczeć i skakać. Radość i wrażenie, że uczestniczę w jakimś filmie przyrodniczo-geograficznym. Pejzaże zmieniają się wraz z liczbą przejechanych kilometrów. Ale zawsze są jasne, przejrzyste, szerokie. Kątem oka stale zahacza się o rzekę, choć co jakiś czas zmienia się jej nazwa.

Pamiętam, jak przeglądałam mapy Sajanów w internecie. Ileż tam jest wody! Góry, niezmierzone przestrzenie i rozwiane nitki rzek poprzetykane koralikami jezior. A ludzie? Tylko gdzieniegdzie jakieś zimowisko (*zimowle*) pracowicie i szczegółowo namalowane przez rosyjskiego kartografa.

W zalesionej części Syberii utrzymuje się obyczaj budowania zimowisk w tajdze i na myśliwskich szlakach. Zimowisko to chatka z pni, w której nikt na stałe nie mieszka, ale każdy myśliwy czy po prostu podróżny może znaleźć w niej czasowe schronienie. Na mapach są one zatem ważniejsze niż jakiegokolwiek miasto. Mają też inny wymiar. Stanowią schronienie dla budowniczego i tego, który przyjdzie po nim. *Zimowle* to pewnego rodzaju kaplica, agora, która zapewnia poczucie bezpieczeństwa. Nie jesteśmy sami w tej galaktyce natury... Ze względu na te maleńkie punkty mapy rosyjskie są znacznie przydatniejsze do podróżowania po tym rejonie świata niż mapy amerykańskie, satelitarne – na nich nie ma zaznaczonych *zimowli*. Jestem więc pełna podziwu dla rosyjskich kartografów. Wykonali gigantyczną pracę.

Wokół siebie mamy prawdziwą, nieskażoną ludzką działalnością przyrodę. Ziemia taka sama jak przed tysiącami lat. I żyją tu ludzie!

Od czasu do czasu zatrzymujemy się w jakimś „świętym miejscu”, uznanym za takie przez miejscowych. Łatwo je rozpoznać, bo pełno w nim drągów z pozawieszanymi wstążkami, porozrzucanymi pieniążkami czy papierosami. Innym razem są to słupy, które – według miejscowych wierzeń – służą do przywiązywania koni Burchana, kiedy schodzi na ziemię.

Nasz kierowca Buriat pieczołowicie kropi teren wokół świętego miejsca. Na cztery strony świata, żeby zyskać przychylność bogów natury.

– Kiedyś tu nie pokropiłem, robiło się ciemno i spieszyłem się do domu – mówi – i za tym zakrętem urwało mi się koło. Ledwo się uratowałem – wskazuje strome urwisko po prawej stronie. – Teraz zawsze się zatrzymuję, inaczej byśmy nie dojechali żywi – przekonuje.

Zatrzymujemy się nad Oką, żeby obmyć oczy i opłukać nogi wodą życia. Maleńkie rybki umykają spod palców, ale po chwili czuję ciekawskie szczypanie w łydki. Niewielkie pyszczki przyjemnie laskoczą, kiedy stoi się bez ruchu. Zimna woda wywołuje ożywcze mrowienie. Boże! Jak ja tęskniłam za tą wodą. Zanurzam twarz i chce mi się płakać. Witam cię, rzeko. Wszystko jedno, jak masz na imię. Czy nazywasz się Prut, Czeremosz, Dunajec, Ochta, Czarna Hańcza czy Oka, jesteś... życiem...!

Buriaccy kierowcy (jest ich dwóch) też jakoś przychylniej na nas patrzą i są gotowi do rozmowy. Wcześniejszy szacunek okazany w ich świętych miejscach, cierpliwe kropienie, modlitwy i wieszanie *hatyków* zrobiły swoje.

Jeden z nich, bardziej mroczny, zamknięty – niechętnie rozmawia, nie chce się zgodzić na fotografię. Drugi – jak się okazuje, jego wujek – jest bardziej gadatliwy, często się śmieje, tłumaczy.

– On – wskazuje na towarzysza – nie chce się sfotografować, bo wierzy, że zdjęcie zabiera trochę jego duszy.

Sam uważa się prawie za Europejczyka. Był w wojsku w Grodnie. Skośno-oki krajan. Lubił jeździć na zabawy do wsi znajdującej się niedaleko granicy z Polską. Znał parę dziewcząt pochodzenia polskiego. Świat jest mały. Życzliwy Buriat wspomina stare dzieje. Przez 15 lat pracował jako kierowca geologów. Zna teren i zna samochód. Nie boi się trudnej jazdy. To dobrze.

Drugi Buriat się modli.

„Proszę Cię, Duchu,
nie nasyłaj na mnie nic złego.
Ty, mój kraju,
wy, wysokie góry,
odwróćcie zło,
przynieście dobro.
Zmiłujcie się...”

Krótkim okrzykiem wymienia najbliższe rzeki i góry, dzieląc się kroplami mleka lub wódki z otaczającą ziemią. Na wszystkie strony świata. Niech się modli. Może trochę tej łaski spłynie i na nas. Jeszcze nie czują świętości tych miejsc ani ich *genius loci*. Buriat sprawia jednak wrażenie, że wie, czuje, może nawet widzi... więcej.

Ostatecznie chyba wywarliśmy na nim pozytywne wrażenie, ponieważ na pożegnanie stanął z nami do zbiorowego zdjęcia. Trochę z boku, nadal bez uśmiechu, nieprzystępny, ale jest w kadrze. Sam, z własnego wyboru. To miłe. A pożegnanie następuje na skraju Wielkich Błot w dolinie Senczy. W dali widać zapadniętego po osie urala. Jego kierowca miał czelność tu wjechać. Teraz stoi – porzucona pokraka.

Słońce chyli się ku zachodowi. Wkładamy plecaki na plecy i brniemy na drugą stronę Wielkich Błot. W pobliżu musi być jakaś osada, bo towarzyszy nam młody chłopak na koniu. Nazywa się Jura. Jest Buriatem. Sceptycznie patrzy na nasze plecaki. Ciekawi mnie rdzenna ludność zamieszkująca Syberię,

jej życie, zwyczaje, wierzenia, mity. Chciałabym porozmawiać z Jurą, ale póki co ciężar plecaka zapiera mi dech w piersiach i nie ma szans na rozmowę. Pocięszam się, że to pewnie dlatego, iż rzeczy są źle spakowane. Cały dzień na pace samochodu. Coś wyciągane, coś wpychane niechlujnie i teraz taki efekt – nierównomiernie rozłożony pokaźny ciężar. Jednocześnie świadomość odległości, jaka nas dzieli od wytyczonej w naszych planach rzeki, sprawia, że cierpnę z niepokojem i pożądliwie patrzę na konia.

– *Łoszadiej u was mnoga?* – pytam.

– *No jasna*. Ja sam mam dwa – odpowiada po rosyjsku. – A ty masz?

– Ja nie mam, dlatego dźwigam ten bagaż na plecach.

– Ciężko chyba – drażny Jura z zainteresowaniem. – Taki *balszoj!*

– Ciężko – mruzcę wściekle.

– *A ty kim robotajesz u siebie?* – Jura przerzucił się na Marka.

– *Ja jurist* – wydyszał Marek.

Jura przez chwilę milczy, słysząc tylko plaskanie końskich kopyt w błocie. Coś w głowie Buriata iskrzy i za chwilę pyta:

– *A łoszadiej u was mnoga?*

– *Niet, u mienia niet łoszadiej* – sapie Marek.

– *To kakoj ty jurist? Ja znaju jurista w Abakanie, u niego mnoga, mnoga łoszadiej. Ty nawierna nie jurist.*

Śmiać mi się chce, słysząc tę rozmowę, ale zamiast śmiechu wyłazi ze mnie jakiś bulgot. Oddychać też ciężko pod ciężarem plecaka.

Aparat fotograficzny uparcie obją mi się o ramię, szelki plecaka wrzynają się głęboko i jeszcze ten kask, który kolebie się z jednej strony na drugą. Na szczęście zblizamy się do lasu, a tam koniec marszu na dziś. Na polanie rozbijamy obóz. Robi się ciemno, ale chłopcy zdążyli jeszcze złowić w rzecze jakieś ryby na kolację. Spotykamy też wracających z połowu Buriatów. Rozbijamy się w miejscu, gdzie zostawili swoje konie. Jan próbuje rozmawiać z nimi o wynajęciu koni, ale jakoś topornie to idzie. Paczka wypalonych papierosów, wspólnie wypita wódka i gorąca herbata z cukrem niewiele pomagają. Wprawdzie potakują, mówią, że rano tu będą, wezmą ze sobą juczne konie – ale na tym się kończy. Ich pojęcie czasu jest zupełnie inne niż nasze. Umów też. Nie muszą się spieszyć. Rano jest wtedy, jak wstaną. Pomogą nam chętnie, ale dopiero gdy

jakaś przyczyna każe im podążać w kierunku Dżojganu – przełęcz, do której zmierzamy. Może to być jutro, może pojutrze. Przyjdzie czas, to pojedą.

Nie dziwi mnie, że rano nikogo nie ma. Może jeszcze śpią, a może jeszcze nie przyszła owa właściwa chwila. Nie ma się co obrażać. Ich myśli chodzą po prostu innymi drogami niż nasze. Im patronuje Kairos, nam Chronos.

Pakujemy plecaki, dzielimy między siebie żywność i ruszamy w drogę.



ROZDZIAŁ III

DROGA DO TUWY – MARSZ PRZEZ TAJGĘ

Kilka najbliższych dni to dla nas gwałtowna adaptacja do marszu pod ciężarem plecaków. Szybko się uczę, do czego służą dodatkowe paski w plecaku – jeśli chcesz się wyprostować, musisz je mieć bardzo mocno zaciśnięte na piersiach i biodrach. Wówczas ciężar opiera się na biodrach, a nie wisi na plecach. Właściwie plecak powinien nazywać się biodrownik.

Idziemy systemem 20/10. 20 minut marszu, 10 minut odpoczynku. Ten system pozwala przetrwać. Uważnie stawiam każdy krok. Potknięcie grozi upadkiem i pewnie urazem kręgosłupa. Mięśnie, nieprzywykłe do takiego wysiłku, niecierpliwie czekają na przerwę. 20 minut – JUŻ! Zdejmujemy sobie nawzajem plecaki. W przerwie próbujemy żartować. W grupie siła. Nie wyobrażam sobie takiej wyprawy w pojedynkę. Po jakimś czasie do przerw tęsknię nie tylko dlatego, żeby odpocząć, ale też żeby zamienić parę słów z kolegami, prześmiać nasz wysiłek, odreagować napięcie, zmęczenie, niepokój.

Niewiarygodne, że w ciągu dziesięciu minut organizm rzeczywiście się regeneruje. Poza tym jest to okazja do rozejrzenia się wokół. A jest co oglądać. Idąc z plecakiem, widzę tylko drogę i skupiona jestem na sygnałach płynących od ciała. Muszę mu pomóc, a przynajmniej nie przeszkadzać, nie utrudniać i tak zbyt ciężkiej pracy. Okolice, którymi idziemy, to słoneczne doliny. Trawersujemy jakąś górę, w dole widać wijącą się Senczę, ale powoli od niej odchodzimy. Czuję naprężone ciało, niemalże widzę, jak pracują poszczególne elementy stawu kolanowego. Ostrożnie, krok po kroku. Zaniedbanie przygotowania kondycyjnego daje o sobie znać. Przechodzimy w bród przez jakieś potoki. Za każdym razem woda ożywia, sprawia, że krew zaczyna raźniej płynąć. Po przeprawie chwila

wytchnienia, można zanurzyć twarz w wodzie. Piękny, słoneczny dzień panuje nad tajgą. W bezchmurnym niebie wyraziście rysują się potężne wierzchołki limb i modrzewi. Drobne, smukłe jodły strzelają w błękit. Wokół jest pięknie.

Elementem, który dodaje nam sił, jest *żimałost*. Podłużne, cierpkie, granatowe jagody rosnące na krzakach sięgających do wysokości mojego ramienia, mierzących około 1,5 metra. W smaku przypominają trochę jarzębinę. Ale są soczyste, miękkie, znacznie delikatniejsze. Czasem wystarczy zatrzymać się na chwilę, zerwać garść tych czarodziejskich jagód, włożyć je do ust i już ma się wrażenie, że to najlepszy deser na świecie. Dodaje sił, energii, łagodzi pragnienie. Wydaje mi się, że niektóre odcinki pokonuję, kierując się od krzaka do krzaka. Natura jest taka mądra. A najważniejsze, że nie trzeba się schylać.

ZAPACHY

Tak wyjątkowo pachnie tylko ciepły, nagrany słońcem żywiczny las. Modrzewie rosnące dookoła są przesycone żywicą, która spływa potokami po ich korze koloru zachodzącego słońca. W dodatku nigdy wcześniej nie widziałam tak wielkich modrzewi. Patrząc na nie, rozumiem, dlaczego czasem dochodzi do samozapłonu tajgi. Przecież te drzewa to żywe pochodnie. Nie wspominając o poszyciu.

Las daje przyjemny cień. Promienie słońca przesączają się przez gałęzie. Czasem rozproszone, czasem zebrane w świetliste wiązki. Magiczny korytarz światła. To, co na zewnątrz, jakoś dziwnie splata się z tym, co wewnątrz. W tym kontekście nawet wysiłek związany z marszem jest do zniesienia.

Odległość sprzega się z ciałem, a przestrzeń nabiera innego wymiaru i sensu. Tu nie oszukasz przestrzeni wymysłami techniki: kolejną, samochodem czy samolotem. Tutaj za plecami zostawiamy czas i zanurzamy się w przestrzeń całym swoim jestestwem. Pod koniec dnia ze zdziwieniem zauważamy, że mamy za sobą całkiem nielichy kawałek i to przebyty tylko na własnych nogach. Z plecakiem świat wygląda inaczej – prawdziwiej i uczciwiej. Nie ma żadnego oszustwa. Otwieramy się na wszystko, co nam się przydarza. Spotykamy zmiany i dostosowujemy się do nich. Stopy muszą przechytrzyć ziemię.

Pojawiają się pierwsze bąble, które szybko przeistaczają się w rany. Prędko przekonujemy się, że plastry tu niewiele pomagają, a znacznie skuteczniejsze w działaniu okazują się srebrna taśma techniczna i maść z jodyną.

Po przeprawie przez jeden z potoków, dokonanej wręcz z dziką determinacją, Andrzej – dając wyraz swojemu protestowi, zniechęceniu, zmęczeniu – zostawia mokre wojskowe głany na skałce. Zakłada adidas i tylko te buty pozostaną z nim do końca wyprawy. Wielokrotnie wiązane, sklejane, nigdy suche – staną się wkrótce historią. A tymczasem...

PATRZYMY W SŁOŃCE

Jest takie afrykańskie przysłowie: „Spójrz na słońce, a cień zostanie za tobą”.

Pojawia się zniechęcenie. Kiedy marsz przedłuża się z tradycyjnych 20 do prawie 40 minut. Natychmiast rosną rozdrażnienie, bunt, rezygnacja, złość. Morale upada. Struktura naszych organizmów ma swoje prawa i trzeba je szanować, nie da się bezkarnie przekroczyć pewnych granic. Siadam na zwalonym wiatrołomie obok Marka i Darka. Robimy sobie godzinną przerwę na obiad. Po ostatnim wydłużonym czasowo odcinku jedzenie rośnie mi w ustach. Przeżuwać je właściwie z rozsądku – posiłek jest przecież bardzo ważny. Zdajemy sobie z tego sprawę, chociaż żujemy na siłę. Staramy się nie zwracać uwagi na pojawiające się nie wiadomo skąd owady. Występują też pierwsze skurcze mięśni. To wynik wyplukiwania wraz z potem mikroelementów. Gastrolit i Isostar przywracają nam jako tako równowagę. Po posiłku czas zaczyna się wlec, a kroki stawia się trudniej. Pełny żołądek nie sprzyja marszowi.

– Ale urlop. Za ciężko pracuję, żeby lekko odpoczywać. Po jaką cholere przyszło mi zapisać się do tego pieprzonego towarzystwa...?

Te i tym podobne słowa wysączają się przez zmęczone wargi moich kolegów. Ja nawet nie mam siły ani ochoty nic mówić. Ręce mi się trzęsą i z trudem utrzymuję zeszyt.

– Pisz, pisz, bo niedługo nie utrzymasz nawet długopisu – dogadują zmęczeni złośliwcy. Dobrze, że chociaż wody nie brakuje.

Wieczorem dopadają nas meszki. Tysiące drobnych, złośliwych, paskudnych i prawie niewidocznych owadów, które włączają pod siatki (całe szczęście, że w Grodnie zdążyliśmy kupić kapelusze z siatką!), pozostawiają swędzące ślady na odkrytych częściach ciała. Gdzieś w dole toczy swe wody Sencza, a tuż obok nas przepływa niewielkie źródło Chałun-Uchoł. Zasnąć!

Kolejny dzień w świetlistej tajdze rozpoczął się realizacją „filozofii lekkości” w praktyce. Wyrzucamy z plecaków wszystko, co może okazać się zbędne na wyprawie. Zostają po nas koszulki, trampki, przewodnik po Kolei Transsyberyjskiej (ważył z 400 gramów), krem do rąk i trochę różnych drobiazgów. Dziś doceniamy każdy gram dźwiganego ciężaru.

Przepraw przez potoki jest coraz więcej. Mokre buty – nikt już ich nie zdejmuje – obcierają nam stopy, rany robią się coraz większe. Stawiamy niedźwiedzie kroki. Po kolejnej przeprawie odchodzimy od Senczy i idziemy wzdłuż potoku Dunda-Goł. Dopływ, a może źródło Senczy? Teren się nieco obniża, robi się mokro, przechodzimy przez pachnące łąki jakiejś doliny.

Nagle pojawia się trzech jeźdźców na koniach, w długich płaszczach i wysokich butach. Konie mają mokre boki, co oznacza, że odbyły niejedną przeprawę. Na plecach mężczyźni wisi broń długa. Mają zacięte, ogorzałe wiatrem, ciemne twarze. Wyglądają trochę jak Indianie. I trochę groźnie. Kiwiają głową na nasze pozdrowienie, pytają, czy mamy telefon. Po co nam, u licha, telefon w tych stronach? I tak przez wiele setek kilometrów nie ma żadnego zasięgu. A telefon satelitarny? Czy oni mogą wiedzieć, co to jest? Nie mamy żadnej łączności ze światem. Groźni na pierwszy rzut oka mężczyźni odjeżdżają. Zostawiają po sobie ciekawość i informację, że pół dnia drogi stąd jest myśliwskie *zimowle*. Tęskniąc za *zimowlem*, drepczemy dalej. Jest późny wieczór, powoli robi się ciemno, droga prowadzi przez jakieś błota, kamienie, a parę metrów dalej roztacza się dziewicza tajga. Upajające zapachy. Po raz pierwszy dostrzegam burunduka. Jest to bliski krewniak wiewiórki, nieco od niej mniejszy, mający na żółtej sierści grzbietu pięć podłużnych, ciemnych pasemek i puszysty ogon. Zwierzątko przypatruje mi się bacznie, siedząc na jakimś korzeniu. Nie budzę w nim strachu, raczej ciekawość. Znak, że nie widziało ono zbyt wielu ludzi w swoim życiu. Pozwala mi podejść dość blisko, by nagle zniknąć nie wiadomo gdzie. Jego widok sprawia mi ogromną radość. Wołodka opowiada, że kiedyś, podczas syberyjskiej

wyprawy, burunduk obgryzł mu kask z wewnętrznej pianki, gdy nieopatrznie zostawił go nocą na zewnątrz namiotu.

Wreszcie wychodzimy na zieloną polanę, na której czeka na nas upragnione *zimowle*. Zimowisk się nie zamyka, zawsze są one gotowe na przyjęcie gościa. Wewnątrz chaty może się pomieścić na drewnianych narach cztery, pięć, czasem nawet więcej osób. Nas jest ośmioro. W chacie takiej znajduje się bądź paleńsko z kamieni, bądź żelazny piecyk. Obok zawsze leży zapas drewna na dzień lub dwa. Kto zanocuje w *zimowlu* i spali drewno, zobowiązany jest przed odejściem odnowić zapas. To święte prawo tajgi. Kolejny gość może przyjść mokry, przemarznięty, przemoczony czy chory i przygotowane drwa mogą być dla niego prawdziwym ratunkiem.

Wielu myśliwych zostawia w *zimowlach* nie tylko drwa, ale także nieduży zapas jedzenia, na przykład kaszę, sól, kawałek słoniny, pudełko zapalek. Są na to przygotowane specjalne półeczki pod sufitem.

Widok tej małej chatki to balsam dla mojej duszy – zresztą, dla całej naszej zbiorowej duszy. Robi się ciemno i konamy ze zmęczenia, ale szybko zaparzamy kawę, która ma niezwykły smak.

Pada deszcz. Okrywamy plandeką rzeczy i po tłustej kolacji zrobionej z pieczonej na ogniu słoniny z chlebem i czosnkiem – idziemy spać.

Za ścianą deszcz rozpadał się na dobre. Układamy się pokotem na drewnianych narach, trochę jak śledzie w beczce. Nie wiedziałam, że przewrócenie się z boku na bok może sprawić taki ból. Wciśnięta w ścianę, długo nie mogę zasnąć. Wsłuchuję się w zmęczone chrapanie kolegów, dźwięk deszczu za ścianą. Oddechy nasączone zapachem czosnku, a także wspomnienie tłustych skwarek – owszem, bardzo smacznych i chrupiących, ale jakże obciążających mój nieprzyzwyczajony do takich ekscesów żołądek – sprawiają, że zaczynam mdlić. Jest potwornie duszno. Wcisnąwszy się w ścianę, ale przez uszczelnione mchem bale nie przenika nawet smuga świeżego powietrza. Wyjść! W tych ciemnościach nie ma szans na znalezienie butów, powała też jakoś nisko, a pamiętam, że w niektórych miejscach sterczą – powbijane jako wieszaki – długie gwoździe. Jak się na taki nadzieję, będzie kłopot. Ale coś każe mi wstać, jakiś wewnętrzny imperatyw i pragnienie nabrania szerokiego haustu świeżego powietrza, odczucia przestrzeni. Oddychać! Wodząc dłonią po suficie, powoli przesuwam się

w kierunku niewielkich drzwi. Po drodze natykam się na czyjeś buty, które po omacku wsuwam na nogi.

Ręką cały czas dotykam sufitu, starając się nie robić hałasu. W życiu nie otaczała mnie taka ciemność. Wypełnia ona całą przestrzeń dookoła, jest jak wylany czarny tusz. Po omacku dochodzę do drzwi. Niespodzianka! Ktoś zapobiegliwy omotał wystający skobel sznurkiem. Szarpie się, usiłując rozplątać jakieś węzły, nie jest to jednak łatwe. Wreszcie węzeł ustępuje i drzwi z lekkim skrzypnięciem otwierają się na zewnątrz. Spragnionymi płucami łapię świeże, rześkie, wilgotne powietrze. Deszcz się uspokoił, teraz tylko nieznacznie siąpi, ale wilgocią przesączone jest wszystko wokół. Na zewnątrz jest równie pioruńsko ciemno jak wewnątrz. Wprawdzie ciemność jakby się nieco rozprężyła, rozgościła dookoła, nie jest tak dramatycznie ściśnięta jak w chacie, ale jednak nadal nic nie widzę. No, może poza nielicznymi jasnymi punkcikami gwiazd, które pojawiają się wysoko oraz dogasającymi resztkami ogniska tu, na dole, nieco z boku za chatą. Robię kilka kroków przed siebie i ogarnia mnie raptowne poczucie... zagrożenia? Czegoś dziwnego, nieznanego? Spotkania z czymś, co jeszcze nigdy... a jednocześnie było zawsze? Poczucie przepływania jakiejś podziemnej rzeki, obrazów z dna snów. Sny z wnętrza ziemi. Niejasne wspomnienie czegoś, co już się zna, już się gdzieś widziało – tylko gdzie, kiedy? Zawieszenie między światami, a może odkrycie tego prawdziwego, najbardziej realnego, pierwotnego świata? To nie strach. To jakby znalezienie się w strumieniu życia, który jest wspólnym doświadczaniem tego wszystkiego, co jest wokół mnie... wszędzie, zawsze? To przedziwne uczucie. Jakby percepcja była zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz mnie. Z jednej strony bycie kompletnie obcym, a z drugiej przynależność do tego dziwnego świata archetypów. Mam wrażenie, że z tajki rozciągającej się tuż obok patrzą na mnie setki oczu – nie z agresją, groźbą, nawet nie z ciekawością, jak spotkane wcześniej oczka burunduka, ale z czujną uwagą. Jakby wszystko po prostu stwierdzało: jesteś... Dreszcz przebiega mi po plecach i jednocześnie mój racjonalny, krytyczny umysł mówi: nie rozumiem tego, co się dzieje, ale to jest... naturalne! To leży u podstawy wszelkiej natury. Stoję tak jeszcze chwilę, po czym cofam się do przestrzeni wypełnionej znanymi, bezpiecznymi, chociaż śmierdzącymi oddechami. Znów mocuję się ze sznurkiem, skoblem i wracam na swoje miejsce.

Znajome przedmioty, dobrze znane dźwięki i zapachy scalają mój świat, budują poczucie bezpieczeństwa. Zасыpiam spokojnie w tej małej, przyjaznej chacie, ale poprzednie doświadczenie zostawia w mojej wewnętrznej rzeczywistości jakiś dziwny ślad. Co to właściwie było? Cokolwiek to było, było ważne i fascynujące! Jestem o tym przekonana.

Następnego dnia już na spokojnie oglądam otoczenie chaty. Rosnące wokół niej olbrzymie barszcze, ostróżki, pięciorniki, tojady, krzaki *żimałosti* i inne kolorowe rośliny rozkładają się wokół jak dziki ogród. Robię kilka zdjęć i ruszamy dalej. Siąpi deszcz. Stężale mięśnie z trudem pracują pod ciężarem plecaka. Boli mnie chyba wszystko. I na dodatek ta mżawka.

Droga pnie się w górę. Mam wrażenie, że nogi stawiam siłą woli. Krok za krokiem – 20 minut marszu, 10 minut odpoczynku. W dole huczy Dunda-Goł. Leśna dróżka prowadzi nas w stronę przełęczy. Z niepokojem spoglądam na szczyty wysuwające się od czasu do czasu zza drzew. To tam mamy się wdrapać?

Jezu..., a to białe tam wysoko, to śnieg? Już nawet ślady niedźwiedzia, które przez chwilę ukazują się przed nami, nie robią na mnie większego wrażenia. Są wielkości mojej dłoni. To chyba nie za duży niedźwiedź, ale i tak nie chciałyby go spotkać. Pot spływa z czoła. Z niepokojem patrzę na Marka, który rano zapakował do swojego plecaka pozostawioną przez kogoś paczkę kawy. To śmieszne, ale te dodatkowe 400 gramów sprawia, że ledwie powłóczy nogami – jakby ta niewielka rzecz przeważała szalę wytrzymałości. Wszystko ma swoje granice. Na którymś kolejnym postoju nieszczęsną torebkę kawy odbiera mu Andrzej. Od razu widać poprawę kondycji Marka. Wleczemy się smętnie. Tylko Białorusini prą do przodu niczym czołgi. Czy oni są ulepieni z innej gliny? Kiedy przed obiadem ktoś, próbując dodać mi otuchy, mówi: „Popierdaj, popierdaj, nie siadaj... dalej, dalej, już niedługo obiad...”, czuję, jak wzbiera we mnie złość i mam ochotę ryczeć. Rzucam plecak i siadam obok Marka, Andrzeja i Darka na zwalonej sośnie:

– Mam w dupie to wszystko! Nikt nie będzie mnie poganiał. Rozumiesz?

Wypalam papierosa. Jak ja po tym dymie wstanę? Mam prawo do odpoczynku po 20 minutach marszu, chociażby ten pieprzony obiad był za następnym zakrętem. Reguły dają mi poczucie bezpieczeństwa.

Całe szczęście, że dziś nie wypada mój dyżur przy garach. Umarłabym, jakby mi jeszcze w tej chwili kazali zając się obiadem. Dowlekam się do miejsca, gdzie Białorusini rozpalili ognisko i gotują w *kaunicy* jakąś zupę. Rzucam się na trawę i nic mnie więcej nie obchodzi. Zdaję sobie sprawę, że dopadł mnie kryzys. Zamykam oczy – próbuję zapaść się w siebie, nie słyszeć nic i nikogo. Cholera! Tu nie można popaść w depresję – to miejsce i ta przyroda na to nie pozwolą. Leżę. Zaczyna przeze mnie przenikać jakaś pierwotna siła ziemi, czuję ją gdzieś w brzuchu. Przytulam policzek do ziemi i pozwalam płynąć tej energii, która mnie odnawia... Powoli odżywam.

Po obiedzie, spożywany w milczeniu i bez chęci, ruszamy dalej. Zaczyna się ostra wspinaczka. W górach jest jakaś magia – to coś więcej niż tylko krajobraz. Jest cholernie ciężko, co kilka kroków trzeba się zatrzymać, żeby złapać oddech, w uszach i głowie szumi cały świat, pot się leje, ale jest pięknie. Nagle tajga się cofa i wchodzimy w strefę karłowatej roślinności, gdzie dominuje okrągłolistna brzoza karłowata, i co dziwne, chyba jakieś gatunki wierzby obok kosówki. Całe szczęście, że nadal towarzyszy nam pokrzepiająca i jakże potrzebna *żimalost*. Gdy weszliśmy w tę górną strefę roślinności z przemierzanej od kilku dni doliny, za nami roztoczyły się fantastyczne widoki na góry. Ujrzelśmy ich ostre, pokryte gdzieniegdzie wiecznym śniegiem wierzchołki.

– Popatrz – mówi Jan. – Czy nie wyglądają jak Tatry?

– Nie, Jan. Raczej jak Karakorum – stwierdziłam, wprost przygnieciona ich wielkością. Sama nigdy Karakorum nie widziałam, ale myślę, że wyglądają podobnie. Widoki te przywracają wiarę w sens tego marszu. Jest po prostu pięknie. Cała symfonia harmonii kamienia. Warto dla niej żyć i nosić ten cholerny plecak.

Tymczasem chmury zaczynają płynąć dziwnie nisko, właściwie przez nas, ochładzając nas i przenikając wilgocią. Kiedy wreszcie będzie ta przełęcz? Wokół nas góry o wysokości około 3 tysięcy metrów. Idziemy wąską dróżką przez kamienne osypiska i płaty łąk o charakterze alpejskim. Na jednej z nich, nieco w dole, stoi stadko siedmiu koni. Jeden z nich tarza się grzbietem po trawie. Konie? Tu, wysoko w górach? Dzikie stadko? Nieważne. Wyglądają pięknie i niespecjalnie się nami interesują. Mijamy je w odległości około 50 metrów.

Mój kryzys poszedł w zapomnienie. Muszę tylko uważać na kolana i ostrożnie stawiać nogi, żeby się przypadkiem nie potknąć. Z tym ciężarem i dzisiejszą

słabością mięśni – złamanie w przypadku potknięcia murowane. Idę swoim tempem. Za mną jeszcze Andrzej i DD. Martwię się o Marka, który wyraźnie przechodzi kryzys. Ale u niego przejawia się on w zwiększonej mobilizacji, zaciętości, skuleniu w sobie i parciu do przodu wbrew swojemu organizmowi. Z nas wszystkich jest chyba najbardziej obciążony. I najbardziej zacięty. Efekt tej zaciętości na przekór swoim możliwościom prędko daje o sobie znać w postaci krwiomoczu. Nerki nie wytrzymują tego drakońskiego wysiłku. Ja i Andrzej patrzmy na niego z niepokojem, wiemy, czym to grozi. Myślmy o tym, żeby szybciej dotrzeć do doliny Dżojganu. Tam odpoczniemy, wymoczmy się w leczniczych źródłach – wszystko przejdzie. A tymczasem jesteśmy na wąskiej i długiej przełęczy.

Znów konie. Stoją w siąpiącym deszczu z opuszczonymi głowami, zbite w gromadkę. Niewysokie, ale silne, sprężyste – dojdą tam, gdzie – wydawałoby się – jest to niemożliwe. Wystarczy tylko pozwolić im iść. Mają bardzo wąskie pięciny, żylaste nogi i czasem zapadnięte boki, ale są podobno niezrównanymi przewodnikami w tym trudnym terenie. Niektóre mają otarte grzbiety. Spotkanie następnych jeźdźców wszystko wyjaśnia – to Sojoci. Szukają czarnego ogiera, który uciekł z doliny Dżojganu, gdzie obozują.

Większość koni puścili luzem w góry, na łąki, w dolinie zostało ich zaledwie kilka. Wieczorem zganiają je z powrotem, żeby nie zostały zjedzone przez dzikie zwierzęta; w dzień same pasą się na przełęczy. Czarny ogier uciekł z obozowiska do stada kłaczy. Pilnuje swojej rodziny.

Idziemy przełęczą, wzdłuż piargów otaczających długie i wąskie jeziorko. To swoisty dział wodny. Z jednego jego końca wypływają źródła w kierunku syberyjskiej Oki, z drugiego krańca spływają wody w kierunku Jeniseju.

Gdzieś tutaj jest też granica między Buriacją a Tuwą.

Schodzenie z gór okazuje się cięższe niż wchodzenie pod nie. Nogi bołą, kolana drżą. Tyle że jest cieplej – zbocze daje ochronę przed zimnym wiatrem. Pojawiają się łąki pełne rododendronów, które wzięły w panowanie ten teren. Jak tu musi być cudownie w czerwcu, gdy zakwitną. Pojawiają się też przepiękne cedry i nadal, na szczęście, towarzyszy nam *żimalost*. Szybкими krokami zbliża się wieczór.

Posuwamy się wolno, uważnie stawiając stopy i pilnując rozchwianych kolan. Kiedy wreszcie dowlekamy się do doliny Dżojganu, padam na trawę i nie

mam siły, by choć wyjąć kubek z plecaka, żeby zaczerpnąć nim wody ze strumienia. Obok zaległa na trawie reszta towarzystwa.

Leżymy twarzą na zachód i... to niesamowite! Natura wybrała ten właśnie moment, żeby objawić nam swoją niezwykłość. Nie ze względu na nas, nie. Po prostu dała nam szansę towarzyszenia wyjątkowemu misterium. Ogromne, zachodzące czerwone słońce majestatycznie i powoli stacza się po grani. Właśnie tak. Nie zachodzi, a stacza się dostojnie przez długi czas. Zupełnie jakby słońce wracało po pracy do domu, a grań stanowiła jego drogę. Może mieszka gdzieś w tych górach? Patrzymy zachwyceni, ale nikt z nas nie sięga po aparat. Nie mogę tego zrozumieć. Ze zmęczenia, z zachwytu czy z jakichś nieznanych nam powodów nikt nawet nie pomyślał, żeby zatrzymać na dłużej tę chwilę. Droga słońca przebiega dokładnie po grani, aż do głębin szczeliny między górami. Przez cały czas styka się ono z powierzchnią góry. Feeria barw, nasycenie światłocieni i powolne odchodzenie dnia. Czy dla tego zjawiska ta dolina nazywana jest świętą?

Głos Jana przywołuje mnie do porządku. W drugim krańcu doliny znajduje się obóz Tuwińców, którzy przyjechali tu konno z Tarachiema. Podróżowali 10 dni.

To ich konie spotkaliśmy na przełęczy. Mają w obozie chorą babcię i proszą, żeby ją obejrzeć.

- Może ty pójdziesz? – Jan wskazuje na mnie.
- Ja? Nie jestem lekarzem. To już lepiej Andrzej, jest weterynarzem.
- Babcia to nie zwierzę, a ty nosisz apteczkę. Może coś dla niej znajdziesz. Pakuję coś do torby z aparatem fotograficznym i zmierzam do Tuwińców.

Mijam pasące się konie i cedrowy lasek obwieszony wotywnymi wstążkami. Obóz Tuwińców przypomina obóz Indian północnoamerykańskich. Letnie czumy podobne są do wigwamów znanych z westernów. Na żerdziach rozpięte są skóry, czasem uzupełnione jakimiś foliami czy brezentem. Otacza nas gromadka dzieci – ich ciekawość jest silniejsza niż strach. Dorośli pozornie zajmują się swoimi sprawami, ale kiedy wyjdę z czumy chorej babci, spotkam przed nią całą wioskę. Chciałabym zrobić im zdjęcie – tym surowym ludziom z jakąś ogromną godnością w sobie. Zbyt długo jednak zastanawiam się nad prawem do sfotografowania przestrzeni będącej ich prywatną własnością, prawem do utrwalenia ich losu w być może innym świetle, niż oni sami by tego pragnęli. Nie

mam odwagi wyciągnąć aparatu – nachodzi mnie przebłysk refleksji na temat świętości miejsc i idei. Oj! Kiepski ze mnie fotoreporter!

Babcia leży na posłaniu ze sterty koców. Też przyjechała konno. Od kilku dni jednak nie wstaje, każda zmiana pozycji w kierunku pionu wywołuje u niej wymioty, omdlenia, słabość. Nie chce jeść i bardzo boli ją głowa. Jezu! Jak ja mogę jej pomóc? Kucam koło niej, biorę ją za rękę – chudą i kruchą. Stara kobieta, której rysy twarzy dziwnie zbliżone są do indiańskich, wpatruje się we mnie zmęczonymi, ale jeszcze bystrymi oczami. Drżącym ruchem usiłuje poprawić swoje długie siwe włosy upięte z tyłu głowy. Wyjmuję z torby ziołowe krople nasercowe – ostatni zakup przed wyjazdem. Ich obecność to wynik rozmowy z sympatyczną aptekarką:

– Jak ktoś się mocno zdenerwuje; żeby serduszko nie pikało.

W każdym razie obniżą babci ciśnienie i, mam nadzieję, nie zaszkodzą. Na widok buteleczki tuwińska kobieta protestuje. Nie będzie brała żadnych leków! Mówię do niej po rosyjsku, usiłując ją uspokoić:

– To rośliny. Większość z nich rośnie w tych górach.

Potem nalewam na łyżeczkę kilkanaście kropel i, ku mojej radości, babcia je wypija. Zachęcona, wyciągam aspirynę. To na rozrzedzenie krwi i żeby głowa nie bolała – dotykam niemalże błagalnie jej dłoni. Jeśli dotyk mógłby być lekarstwem, chętnie spędziłabym z nią całą noc.

Będzie dobrze. Nie martw się. Powoli wysuwam się z czumy. Dorosłym zostawiam buteleczkę kropli i płatek aspiryny z dokładnymi zaleceniami. Bardzo bym chciała, żeby to pomogło, ale specjalnych złudzeń nie mam. Żeby tylko babcia przeżyła, aż nadejdzie pomoc. Spotkani przez nas w tajdze jeźdźcy, którzy pytali o telefon, to wysłańcy wioski. Szukają jakiejś łączności z Kżyłem. Stamtąd przyłeci helikopter z lekarzem i zabiorą kobietę do szpitala. Jedyna łączność to radiotelefon w Orliku – jakieś 120 kilometrów stąd przez góry. Konno – cztery dni drogi.

W namiocie babci panuje dziwny zaduch. Nie wiąże się z brudem ani z zapachem starości. Nie! Babcia jest czysta. Pomimo choroby, starości, ma w sobie jakąś ogromną godność. Cóż to więc za specyficzny zapach przesiąkający całe wnętrze?

Ślad tego zapachu czuję również po wyjściu na zewnątrz. Coś dziwnego jest w powietrzu.

Tajemnica wyjaśnia się po powrocie do ogniska, które chłopcy zdążyli już rozniecić. Nazbierane drewno z trudnością się pali, całe jest przesiąknięte jakimś związkami chemicznymi – zamiast soków płynie w nich chemiczna zawartość tej ziemi. Drzewo, całkowicie suche, ledwie się tli, wydzielając przedziwny, ostry zapach – ten sam, który unosił się w wigwamie starej kobiety. To przesiąknięte dymem koce i ubrania wydzielają specyficzną woń. Mamy niewielkie szanse na zagotowanie herbaty.

Póki jeszcze coś widać, idę wziąć kąpiel w leczniczym źródle. Ciepła, mająca około 40 stopni Celsjusza woda o nieznanym składzie przynosi ulgę memu zmęczonemu ciału. Chociaż mydło nie chce się pienić, usiłuję umyć głowę pod spadającym z drewnianej rynny strumieniem. Woda ta musi zawierać jakieś sole, bo obok ziemię pokrywa rozległy naciek solny koloru bladeżółtego. I, o dziwo, otarcia i rany przestają mi dokuczać. Siedzę w tej drewnianej chatce – bani, dopóki nie zrobi się całkiem ciemno. Rano obejrzę pozostałe źródła i niektóre wypróbuję, ale dziś pora już iść spać.

Wracam do ogniska. Ugotowana herbata smakuje jak nigdy dotąd. Trzeba wiedzieć, z którego źródła można pić, gdyż nie wszystkie się do tego nadają. Tuwińcy wiedzą. Buriaci, którzy obozują obok nas, a właściwie my obok nich – też. Przyjechali tu konno z okolic Wielkich Błot, z wioski o nazwie Sajany. Droga zajęła im cztery dni. Myślę sobie w duchu, że nasze piesze tempo wcale nie jest złe. Buriatów jest w dolinie Dżojganu znacznie mniej niż Tuwińców. To zaledwie dwie rodziny – jedna starsza, druga młodsza – z dwójką dorastających dzieci. Najstarszy z Buriatów, wesoły i uśmiechnięty, nie potrafi opanować ciekawości i towarzyszy nam przy rozbijaniu obozu. Wypytuje też o różne akcesoria wydobywane z plecaków, przy czym najbardziej interesują go błystki – trudno się od niego opędzić. Kobiety i dzieci starają się nie rzucać nam w oczy. Stary Buriat na wieść, że wróciłam z obozu Tuwińców, podchodzi do mnie, trzymając się za brzuch.

– Boli – mówi. – Może masz coś dla mnie?

Zrezygnowana, wyciągam witaminę C. A niech to! Jemu i tak wszystko jedno, byleby tylko coś dostał. Chłopcy śmieją się:

– Szamanka! Z witaminą C.

– Przestańcie. Lepiej módlcie się, żeby babcia nie umarła, bo ty, Marku, możesz zostać wdowcem. Tuwińcy mnie oskalpują.

– No to dzisiaj śpisz bliżej wyjścia – skwitował Marek. – Jak będą cię wyciągać, narobisz mniej zamieszania.

Po prostu pięknie! I tak tu można liczyć na męża!

Dolinę opanowuje ciemność, w której jest jakaś nieskrępowana dzikość. Wprawdzie nad głową świecą gwiazdy i to, zdaje się, na wyciągnięcie ręki, ale podobnie jak podczas nocy spędzonej w *zimowlu* odnoszę wrażenie, jakby ze-wsząd otaczały mnie bystro patrzące oczy, a ze ścian doliny płynął zniekształcony tysięcznymi odbiciami od skał szept: „Jeesteeśśś... jeesteeśśś...”. Co to, u licha, jest?

Może to ułamki rajy utraconego albo wspomnienie jakiegoś ładu, które wciąż w sobie nosimy?

Może to te opary leczniczych źródeł, a może wyczerpanie fizyczne sprawia, że jesteśmy w stanie widzieć więcej, czy tego chcemy, czy nie. Wstępujemy w krainę półsnu, krainę naszych pierwotnych zmysłów, intuicji, mitów...

Podobno tyle unieść ze świata nam dano, ile rozum z pokorą odmierzy. Tu jednak rozum wydaje się być niewystarczający.

Z ulgą wchodzę w przestrzeń namiotu – wszystko nabiera znanych, zwyczajnych barw. Wzdrygam się, nie odważyłabym się spać na dworze. Zbyt daleko odeszłam od pierwotnej kobiety we mnie samej, żeby zaryzykować spotkanie z duchami tej doliny, a może po prostu z sobą? Może będę wspominała tę chwilę z tęsknotą i żalem, że byłam blisko czegoś płynącego z głębin mojej podświadomości, ale... widocznie nie jestem jeszcze gotowa na to spotkanie.

Po mnie z ulgą wślizguje się do namiotu Marek:

– Wiesz, tu jest jakoś dziwnie. Czuję się tak, jakby patrzyły na mnie tysiące oczu.

– Ty też?... Śpijmy.

Rano rozczarowanie. Góry spowite chmurami. Czasem tylko odsłoni się na chwilę kawałek jakiegoś szczytu, ale nie ma już mowy o widokach, które oglądaliśmy wczoraj. Wszyscy się dziwimy, dlaczego pozwoliliśmy ulecieć temu niezwykłemu teatrowi zachodu słońca, dlaczego nikt go nie sfotografował. Czary?

– Otumanienie! – kwituje DD.

Idziemy obejrzeć dolinę za dnia. Kąpiemy się w kolejnych źródłach. Napotykam Tuwinkę z obozu, pytam ją o zdrowie babci.

– Trochę lepiej – odpowiada po rosyjsku. – Usiadła i coś wypila. Nie wymiotuje.

Niewiele, ale zawsze to dobry znak – myślę. No tak. Wracam do naszych namiotów. Chłopcy chcą iść na rekonesans po dolinie, a ktoś powinien pilnować rzeczy. Zostaję sama. Rozkładam przy ognisku karimatę, wyciągam całkowicie pogięty zeszyt i zaczynam notować. Bezwiednie przybieram różne dziwne pozy, żeby złapać odrobinę wygody na płaskiej ziemi.

Nagle słyszę kobiecy głos, który zaczepia mnie po rosyjsku:

– *Szto dietajesz?*

Podnoszę wzrok. Stoi nade mną Buriatka z sąsiedniego obozowiska – ładna, ciemnooka kobieta, która może mieć tyle lat co ja. Jest w niej coś bardzo spokojnego. Zapraszam ją, żeby usiadła na pieńku. Między nami żarzy się ognisko.

– Piszę. Pamięć ludzka jest ulotna. Zapisuję, żeby nie zapomnieć, jak tu pięknie.

Kiwa głową. Rozumie i zgadza się ze mną.

– Idziecie, żeby płynąć rzeką Issyk-Sug – stwierdza.

Wszyscy w dolinie już o nas wiedzą. Wiadomości rozchodzą się tu błyskawicznie. Issyk-Sug bierze początek właśnie w tej dolinie. To tym potokiem mamy dopłynąć do Chamsary, potem Chamsarą do Jeniseju, a Jenisejem do Kyzylu. Tam nasza wyprawa dobiegnie końca, ale póki co – szmat rzecznej drogi przed nami.

– A ty? Przyjechałaś tu do źródeł? – chyba też mam prawo zadać pytanie.

Przyjechała tu z dziećmi i z mężem – wskazuje na szczupłego mężczyznę z kruczoczarnymi włosami splecionymi w krótki warkocz. Kojarzy mi się z indiańskim wodzem. Mężczyzna krząta się po obozowisku, udając, że nie zwraca na nas uwagi. Może nie wypada być ciekawskim, kiedy rozmawiają kobiety? Ich syn często choruje na gardło; przywieźli go tu na leczenie.

– Opowiedz mi o źródłach w tej dolinie! – proszę.

– Za lasem cieknie malutkie źródelko, niemal po kropelce. Leczy oczy, ale trzeba uważać: dziennie można wpuścić tylko trzy krople. Inaczej można

oślepnąć. Te źródła to ogromne bogactwo, każde leczy coś innego. Widzisz tego konia? – pyta.

Przed nami skubie trawę puszczone luzem zwierzę, na którego grzbiecie zastygła bryła błota. Wygląda bardzo niechlujnie, co moim zdaniem, niezbyt dobrze świadczy o właścicielu.

– To koń Tuwińców. My nie puszczone koni luzem, zawsze ich pilnujemy, a oni puszczone je na popas w dolinie albo wyprowadzają w góry na łąki i potem ich szukają. Ale ten koń nie jest brudny – ma na grzbiecie błoto, które leczy otarcia. Ono sprawia, że rany goją się bardzo szybko.

– Zbierasz rośliny? – pyta, zobaczywszy wysunięty z mego zeszytu zaschnięty kwiatek.

– To moje pamiątki z podróży – opowiadam.

Buriatka rozumie, kiwa głową, opowiada o złotym korzeniu. To taka odmiana żeń-szenia, święta roślina miejscowej ludności.

– Nigdy jej nie zrywaj – mówi. – To przynosi deszcz. Zdarza się, że robią to szamani, ale tylko w wyjątkowym czasie. Niekiedy przyjeżdżają tu Rosjanie i jej szukają, zrywają, ale ty nigdy nie zrywaj – przestrzega. – U Tuwińców grozi za to kara!

Obiecuję, że tego nie zrobię. Szczerze mówiąc, nie bardzo nawet wiem, jak wygląda zewnętrzna część tej rośliny.

Wyciągam z torby fotograficznej zdjęcia moich dzieci. Pokazuję Buriatce chłopaków. Pyta, jak się nazywają, co robią. Uświadamiam sobie, że ona jest tak samo ciekawa mnie, jak ja jej. Opowiadam jej o nich. Na jednym ze zdjęć dostrzeżę sosny. Jest zdziwiona, że tak daleko też rosną te piękne drzewa. Tak, chociaż nasze domy dzieli kilka tysięcy kilometrów, tam też rosną sosny. Pokazuję jej na zdjęciu mój letni domek, podoba jej się. Ona mieszka we wsi Sajany, niedaleko Wielkich Błot. Wieś nazywa się tak samo jak góry. Stamtąd idziemy i ona o tym wie.

W pewnym momencie podchodzą do nas jej dzieci – dorastająca dziewczynka i nieco młodszy chłopak. Przedstawia mi je, pokazuje im moje zdjęcia. Dzieci uczą się w Arszanach. Jesienią zabiera je tam autobus i przyjeżdżają tylko na ferie oraz wakacje.

– Tęsknisz za nimi? – zadaje głupie pytanie.

– Smutno, jak wyjeżdżają, ale tak trzeba. U nas nie ma szkoły.

Dzieciaki są schludnie ubrane w nieśmiertelne chińskie dresy. Mają pogodne twarze, podobnie jak ich matka.

Dzieli nas właściwie wszystko: kultura, warunki życia, społeczne doświadczenie, a jednak mamy wspólne uczucia, tęsknoty, może mity? Chciałabym poznać ją bliżej.

– Zrobię wam zdjęcie, całej rodzinie – proponuję.

Do zdjęć przychodzi jej mąż oraz ciekawski, uśmiechnięty starszy buriacki mężczyzna. Obiecuję wysłać fotografie. Spisuję pieczołowicie ich adresy. Kobieta wyraźnie się rozluźnia. Tak bym chciała wypytać ją, jak jej się żyje i kim jest, co robi na co dzień, jak wyglądają jej radości i smutki. Czuję, że mamy wiele wspólnego.

Tymczasem wracają moi mężczyźni i wspólnie podejmujemy decyzję. Opuścimy dolinę! Schodzimy niżej wzdłuż Issyk-Sugu. Dzisiaj pokonamy część drogi i może jutro uda nam się dojść do miejsca, gdzie będzie dosyć wody, by móc złożyć katamarany. Jak to mówią nasi: „Sraki w kulbaki i odjazd!”.

Pakujemy się. Jest mi trochę smutno, ale wir przygotowań do dalszej drogi gubi wszystkie uczucia. Buriatka daje nam na drogę gomółkę masła z jaka. Wcisnęłam je do pudełka po Isostarze (jak dobrze, że go nie wyrzuciłam).

Już z plecakami na grzbietach, machamy do siebie na pożegnanie. To jedno z tych niedopełnionych spotkań, których wspomnienie będzie się długo objąć w mojej głowie.

Plecaki już tak strasznie nam nie ciążyą. Nasze organizmy dziwnie szybko przystosowały się do tego trybu życia. Dzięki źródłom czujemy się odprężeni i nawet obtarcia przyschły tak, że właściwie o nich zapominamy. Idziemy wzdłuż Issyk-Sugu, mamy się trzymać lewego brzegu. Początkowo będzie tam *charaszo nabita końskaja tropa*, potem nie wiem co, ale będziemy brnąć dalej wzdłuż potoku, aż ten nie zamieni się w rzekę zdolną przytulić katamarany.

Po pierwszych 30 minutach – przeprawa. Windujemy się na lewy brzeg. Już nikt z nas nie myśli o zdejmowaniu butów, znamy się na rzeczy. Potok w miejscu przeprawy jest – jak na bród – głęboki i wartki. Bułak wyłamuje kawał drąga i powoli bada dno, posuwając się ostrożnie w stronę drugiego brzegu. Wysoki, chudy, z drągiem, z rozmoczonymi nogawkami dresów powiewającymi w nurcie

i w śmiesznej czapeczce – wygląda jak Jańcio Wodnik. Na drugim brzegu zrzuca plecak i wraca, żeby pomóc innym. Fakt, bez plecaka łatwiej. Wchodzę do potoku, robię kilka kroków i:

– Ratunku! Jańcio, pomóż!

Czuję, jak nurt ścina mnie pod kolanami; ledwie w nim stoję, łapiąc równowagę. Jak się przewrócę, to z tym cholernym plecakiem się nie podniosę, to pewne. Zaczynają mi drżeć łydki. Rety, utopię się, zanim zacznę płynąć prawdziwą rzeką.

– RATUNKU!!! – wrzeszczę.

Jańcio-Bułak litościwie podaje mi rękę i pomaga iść, zapierając się drągiem. Dobry duszek z *Kingsajzu*.

Spocona ze strachu i przyjemnie ochłodzona po pas wodą, na chwilę siadam na zwałonym pniu. Wszyscy już przeszli ten „bród”. Idziemy dalej. Jest *tropa*. Wąska ścieżka zostawiona przez konie Tuwińców.

– Takie wielkie zwierzę, a robi taką wąską ścieżkę – mówi z przekąsem Darek, potykając się o jakiś korzeń.

Idziemy jeden za drugim. Tajga gęstnieje, a ścieżka raz wspina się trawersem na jakieś zbocze, raz biegnie w dół. Nie widzimy potoku, ale wiemy, że on płynie w dole – między górą, której zboczem idziemy, a kolejną, po jego drugiej stronie. Ślady końskich kopyt odbite od czasu do czasu w rozmiękłym podłożu dodają otuchy. Bywają tu ludzie. Pewnie jacyś tuwińscy myśliwi dostarczający pożywienie tym w obozie. A jednak człowiek w tym lesie jest rzadkim gościem. Czuje się tu majestat i pierwotną dzikość tajgi. Pochylają się nad nami ogromne drzewa, pokryte pasmami siwych porostów – niczym sędziwe olbrzymy, starcy z bajki. Promienie słońca z rzadka przebijają się przez gęstą zasłonę z poskręcanych gałęzi. Na ziemi panuje półmrok i wieczna wilgoć, na omszałych, zwałonych kłodach rozrosły się ogromne grzyby *żagory*. Czasem noga zapada się w spróchniałe podłoże.

– Ostrożnie! Głupio by było teraz skrócić nogę!

Pojedyncze bloki skalne giną wśród drzew i zdaje się, że są to walące się, dawno porzucone siedliska jakichś ponurych istot leśnych. I ta cisza! Od czasu do czasu słychać jedynie miarowy stukot dziecięcia czy słabe poświstywanie pełzacza wspinającego się po grubym pniu. Zaczyna się śnieć deszcz. Siadamy rządkiem na zwałonym, grubym pniu. Miarowy szum deszczu stwarza jakąś dziwną

kameralność. Kameralność naciągniętych kapturów i bębnienia po kurtkach. Owijam w folię aparat fotograficzny. Gdzieś już się czułam podobnie... Bieszczady? Chyba tak! Rozmiękła glina gdzieś między Żubraczami a Cisną, i to bębnienie deszczu po plecaku.

Z ust unoszą się obłoczki pary – za chwilę wszyscy zaczniemy parować jak te omszałe pnie. Posuwamy się powoli przez gęstwiny, pokonując zwały suchych gałęzi i obchodząc bokiem trudne miejsca. Chodzić latem po dziewiczej tajdze wcale nie jest łatwo. Każdy leżący pień, każdy korzeń jest przeszkodą. Trzeba dobrze wybierać miejsce, gdzie można postawić nogę.

– Gdzie się podziały te końskie ślady? Jelenia, owszem – są, ale konia to tu dawno nie było.

Deszcz przestał padać, gdzieś w górze wychodzi słońce. Drożynka schodzi w dół i wpadamy w śródleśną łąkę, między olbrzymie łopuchy, ostróżki i jakieś kolorowe kwiatki. Wszystko ma tu inny wymiar. Rośliny są wyższe niż ja. Przystajemy sobie widzieć – słysząc jedynie szelest rozsuwanych roślin i zauważyć można wydeptany ślad poprzednika. Niewiarygodne, jakie botaniczne bogactwo. Ale nie mamy czasu się nad tym roztkliwiać – jest już popołudnie, a przed nocą trzeba gdzieś dojść. Pytanie tylko: gdzie? Raz zbliżamy się do rzeki Issyk-Sug, raz się od niej oddalamy, ale zawsze jest ona gdzieś w pobliżu.

Las. Niepowtarzalna wartość w czasie. Kumulacja energii przyrody, na którą trzeba czekać setki, tysiące lat. Relatywizuje nasze codzienne kłopoty i zmartwienia. Las pokazuje nam, że jesteśmy tylko częścią większej całości. Idąc, mam wrażenie, że jeśli moja noga zapadnie się głębiej, dotknę stopą jakiegoś zaklętego w ziemi prehistorycznego gada. To poszycie ma przecież tysiące lat.

Znowu deszcz. Idziemy jeden za drugim. W pewnej chwili czuję kwaśny zapach mokrej sierści. Co to może być? Andrzej, idący za mną, nic nie czuje. To coś jednak ciągle drażni moje nozdrza. Zapewne jakieś zwierzę przechodziło tędy przed chwilą albo jest gdzieś w pobliżu. Nie słysząc go, ale jego zapach jest dość wyraźny.

Dlaczego oni tego nie czują? Bezdušní faceci!

- Tylko w *pieriod i w pieriod* – cedzę przez zęby sama do siebie.
- Patrz! – Andrzej niespodziewanie się zatrzymuje.

Na korze drzewa na wysokości mojego ramienia dostrzegamy zawieszony dość duży kłak dziwnie siwej sierści. Koń? Nie, to niemożliwe – za długa ta sierść, a poza tym zapach na pewno nie koński.

Tak pachnie dzikie zwierzę, to wiem. Kiedyś w Puszczy Augustowskiej natknęłam się na jelenia. Jego też najpierw wyczułam. Był mglisty wieczór i jego sierść wydzielala kwaśno-cierpki zapach dzikiego zwierzęcia. Trudno mi go z czymś porównać, ale jest on bardzo intensywny. Jednak ten zapach tutaj to chyba nie jeleni. A jeśli niedźwiedź? Wzdrygam się i cieszę, że jest nas tak dużo. Zwierz swój rozum ma. Może obserwuje nas z gęstwiny? Raczej nie ruszy, taką przynajmniej mam nadzieję.

Nagle grzmot przetacza się wzdłuż gór, dudni odbitym echem. Jeszcze tego brakowało. Oddaliliśmy się od rzeki, nie ma mowy, żeby rozbić się w tej gęstwiny. Idziemy dalej, chowając głowy przed strugami deszczu.

– Zostańcie tutaj – proponuje Jan. – My z Wołodką poszukamy miejsca na biwakowanie, wy poczekajcie i nie ruszajcie się z miejsca.

Zrzucamy plecaki. Chłopcy stoją jak te słupy na deszczu. Z góry spływa na nas woda. Uszy mam obolałe od grzmotów, strach przed błyskawicami ścisną mi gardło. Jezu! Co ja tu robię? A jak piorun strzeli w jakieś drzewo obok?

Wszyscy posępnie milczą. I poza odgłosami burzy dookoła panuje jakaś dziwna cisza.

– Wiecie, o czym marzę? – pytam, wycierając ściekający z nosa strumień deszczu. – Chciałabym chociaż przez chwilę poczuć się znowu kobietą! Ubrać się w czerwoną sukienkę, założyć szpilki, pomalować paznokcie i pójść do jakiejś kawiarni. Zamówić martini z lodem i patrzeć na uśmiechniętych ludzi. Albo rozmawiać o niczym z jakąś koleżanką, albo poplotkować. Rety, co ja tu z wami robię?

DD śmieje się:

– A ubierz się w tę czerwoną sukienkę, nam też zrobisz przyjemność.

Łatwo powiedzieć! Wizja kawiarni jest tak samo nierealna jak cokolwiek innego, zwyczajnego, czego można doświadczyć w domu. Jak na przykład rozparcie się w miękkim fotelu, jak..., jak... muzyka. Dlaczego tu tak cicho? Tylko krople deszczu.

Miejsce do biwakowania znajdujemy całkiem niedaleko, na małej polance nad rzeką. Naprędce rozciągamy plandekę i wyjmujemy niewielką butlę z gazem, na której zaparzam kawę. Chłopcy próbują rozpalić z mokrego drzewa ognisko, ale im się to nie udaje. Rozbijamy namioty. Stoimy chwilę z gorącymi kubkami, ktoś dolewa do nich trochę spirytusu na rozgrzewkę. Wieczorna krzątania, rozbijanie namiotów.

Jan nie wygląda za dobrze. Jest blady, wyraźnie źle się czuje, ma dreszcze. Dwie aspiryny i do śpiwora. On chyba najbardziej z nas wszystkich przyjmuje na siebie odpowiedzialność. Odpowiedzialność za nas. Ta dzisiejsza droga, błędzenie, ciągłe szukanie ścieżki i ta cholerna pogoda robią swoje. On też przechodzi kryzys. Dobrze, że jest Bułak ze swoim: *Niczewo, Wania, spokojna*. I Wołodka z takim nastawieniem do życia, jakie miał osioł z *Kubusia Puchatka*. Temu się nic nie podoba, chyba z założenia, a czarnowidztwo doprowadza go do granic absurdu. Może to jest metoda? W każdym razie wygląda to dość zabawnie, bo z tych jego wizji można się tylko śmiać. Toteż desperacko rechoczemy.

Deszcz bębni o plandekę. Stoję u wejścia do namiotu. Na samej granicy dwóch niepodobnych do siebie światów. Za plecami mam maleńki, kruchy światek, dopiero co stworzony ludzkimi rękami. Nie ma w nim deszczu, wszystko jest proste, podporządkowane naszej woli. Zechcę, zgaśnie latarka, rzeczy zmienią miejsca, otulą mnie ramiona Marka. Przede mną rozciąga się drugi świat – ogromny, tajemniczy, oczekujący deszczem. Nie tak łatwo przedstawić cokolwiek z miejsca na miejsce i wiele jest tu rzeczy niepodlegających naszej woli i władzy. Świat ten przysłoniła bezkształtna, nieprzebita ciemność, ale on wciąż daje o sobie znać tchnieniem wiatru, kroplami deszczu, zapachami, dźwiękami.

Zasypiamy wtuleni w siebie w tej przyjaznej namiastce domu.

Rano wygrzebuję się z namiotu. Natychmiast otula mnie wilgoć. Mokra trawa, mokre drzewa, ale niebo bezchmurne. Nad parującą tajgą unosi się mgła. Wschodzi słońce. Patrę na rzekę przez krople wody na gałęziach jodeł. Ognisko przyjaźnie dymi, obiecując gorącą kawę i zupę. Świat zmienił barwy. Wystarczy popatrzeć na taki poranek i znów chce się żyć. Obok słysząc szum rzeki.

Poranek w tajdze to powrót pierwotnych sił życia, to materializacja marzenia o przestrzeni, to budzenie się energii, radości.

Kawa ma cudowny zapach. Życie nie umiera! Leniwie szykujemy się do dalszej drogi. Ta jednak szybko pokazuje, kto tutaj rządzi. Sprowadza nas do właściwych proporcji i perspektywy. To chyba najtrudniejszy dzień dotychczasowego marszu i jednocześnie lekcja pokory.

Tropa. Dróżka, która i tak pozostawiała wiele do życzenia, teraz całkowicie zniknęła. Jeszcze na siłę próbujemy chwycić się jakichś śladów, wgniecen w miękkim gruncie, szukać połamanych gałązek, by po kilku godzinach powiedzieć sobie szczerze: niczego takiego jak *tropa*, *tropka*, a nawet *tropeczka* tu nie ma. Znamy ogólny kierunek. Azymutem jest rzeka. Jak długo będziemy musieli jeszcze iść, nie wiadomo, ale jedno jest pewne – to już niedaleko.

Z mapy wynika, że zostało jakieś 8 kilometrów do połączenia się dwóch większych potoków.

To już prawie rzut kamieniem. Tylko że... ziemia zrobiła się całkiem miękka, poorana bruzdami drgających kęp, szczelnie zarośnięta karłowatymi krzaczorami broniącymi przejścia. Tylko że... słońce pali niemiłosiernie, a pot spływa po wszystkich możliwych częściach ciała. Tylko że... obsiadają nas stada owadów, nogi zapadają się w czarnej mazi. Tylko że... często gubimy siebie z oczu.

Modłę się w duchu, żeby na tym ostatnim (taką mam nadzieję) etapie marszu nikt nie uległ kontuzji. Złamanie, a choćby i zwykłe zwichnięcie nogi w tym miejscu byłoby dla całej naszej ósemki ogromnym problemem.

– Ostrożnie, ostrożnie, to już niedaleko – pocieszamy siebie nawzajem.

Podczas krótkiego postoju w kępie świerków na wysepce wśród bagien wyciągamy zapomnianą krótkofalówkę. Pierwszy idzie Wołodka. Mamy z nim kontakt, tylko co z tego? Wiemy, że jest gdzieś z przodu, że teren się nie zmienia (fakt, że nie jest gorzej, już jest pozytywną wiadomością), wiemy też mniej więcej, w jakim kierunku trzeba iść.

– Szukajcie złamanych przeze mnie gałęzi! – skrzeczy Wołodka przez krótkofalówkę.

Też mi się znalazł – Winnetou! W tym gąszczu nie jest możliwe znalezienie jakiegokolwiek celowo złamanej przez niego gałązki.

Swoim pomysłem jednak nas niezłe rozbawia, a to już dużo. Jeśli człowiek potrafi się śmiać, to jest w stanie jeszcze wiele znieść. W związku z tym – naprzód. Kiedy rzeka łaskawie się do nas przybliży, próbujemy nią iść, ale nie damy rady. Bystry prąd, a przede wszystkim bardzo zmienne głębokości są zbyt niebezpieczne. Znów bagno.

Nikt już nie rozmawia. Przechodzimy wzrokiem grunt, wybierając najlepsze miejsce do postawienia stopy. Metr po metrze brniemy dalej.

Wreszcie wychodzimy na stabilne podłoże. Niektórzy zasypiają jak tylko usiądą na ziemi. Zaledwie 8 kilometrów, a cały dzień marszu. Naprędce gotujemy obiad. Otaczają nas stare drzewa porośnięte brodaczkami. Wszystko jest bardzo suche, łamliwe.

Pilnujemy, by ogień był niewielki – żeby tylko móc zagotować zupę i herbatę, które pozwolą nam nabrać sił, i nie wywołać jednocześnie pożaru. Wyobrażam sobie, jak bardzo łatwopalna jest w tym miejscu tajga. Wystarczy iskierka, by zajęły się upiornie zwisające suche brody porostów. A przecież jeszcze chwilę temu dookoła było mokro, wilgotno, a jędrna roślinność pełna była soków. To bagno nie paliłoby się tak łatwo, w przeciwieństwie do sędziwych drzew.

Potem idziemy nad rzekę szukać dobrego miejsca do biwakowania. Ważne, że już jest twardo. No i po posiłku. Jedzenie w tych warunkach to po prostu konieczność, nawet wtedy, kiedy ze zmęczenia jest już właściwie wszystko jedno. Musisz jeść, żeby przeżyć. Nawet znieawidzone przez Wołodkę flaki sojowe z suszonymi warzywami i rosółkiem, które z rozsądku wciskamy sobie do gardeł, mają sens i przywracają siły – w końcu to przecież białko i trochę tłuszczu. Na deser tabliczka czekolady i herbata. I wypalony papieros. I już czujesz się jak w Jamie Michalika.

Szukanie miejsca nie jest takie proste. Brzegi albo torfowe i zarośnięte brzoza karłowatą, albo gęstą tajgą. Przechodzimy kilkakrotnie nurt zakosami: raz na jeden brzeg, raz na drugi, aż w końcu znajdujemy wymytą przez rzekę piaskową wydmy. Na jej brzegu rozbijamy namioty i stawiamy plandekę. Siąpi deszcz. Jan wbija patyk w miejscu, gdzie woda styka się z brzegiem. Rano zobaczymy, jak przybiera rzeka. I znów jedzenie. Kanapki, puszki i kawa. Świadomość, że jutro zostajemy w tym samym miejscu, i że za nami już cała gehenna marszu sprawia, że rozgaszczamy się wewnętrznie, pozwalamy sobie na żarty, dyskusje.

– Skąd ty taki mądry? – pyta Wołodka Marka. – Ty chyba stary jesteś!

Oj, stary, stary! – myślę sobie w duchu. Też mam poczucie, że bardzo się tu z nimi „zestarzałam”.

Chwila przy ognisku. Nocą cały świat ogranicza się do niewielkiego oświetlonego kręgu, za którego granicami wszystko wydaje się obce i tajemnicze. Tylko stałe szemranie rzeki przypomina, gdzie jesteśmy. Jutro składamy katamarany.



ROZDZIAŁ IV BUDOWA KATAMARANÓW

Katamaran to wyraz pochodzenia angielskiego (*catamaran*) przejęty z języka tamilskiego – *kattumaram* (od *kattu* – wiązać i *maram* – drewno). I właśnie to – „wiązać” i „drewno” – dokładnie oddaje specyfikę konstrukcji naszych rzecznych pojazdów. Dużo mamy i drewna, i wiązania. Całe przedpołudnie męska część wyprawy, ubrana jak ekipa drwali, przedziera się na drugi brzeg rzeki i ścina młode modrzewie o średnicy około 10–15 centymetrów.

Oczywiście, najpierw trzeba je znaleźć, a to już nie jest takie proste. Pominę tu opis poszycia i gęstwiny drzew o różnej średnicy, zaznaczę tylko, że trzeba się niezłe naszukać, żeby trafić na odpowiednie. Gdy się to udaje, chłopcy przerzucają drzewo na drugi brzeg, a moim zadaniem jest je wyłowić. Liczba drągów – około 30 sztuk. Dodatkowo ścinają cienkie drzewa, które posłużą do zrobienia krótkich zacisków na wiązaniach. Kiedy już mamy potrzebny materiał, przystępują do okorowywania każdego pniaka.

W tym czasie do moich obowiązków należy przygotowywanie kawy, herbaty, kuskusu, flaków sojowych – w skrócie: pełnego asortymentu żywienia. Aha! Zapomniałam o kanapkach. A na deser czekolada.

Później wyciągamy niesione dotychczas na plecach gumowe pływaki – warstwy wewnętrzne i zewnętrzne. Wkładamy jedno w drugie, lekko dopompowujemy i wówczas zaczyna się cały teatr wiązania i dopasowywania drągów: najpierw wzdłuż pływaków z obu ich stron, później diagonalne łączenie ich ze sobą.

Jesteśmy już podzieleni na załogi. Kiedy miał miejsce ten podział? Skrytalizował się wczoraj, kiedy odpoczywaliśmy po bagnach. Jan przedstawił propozycję, nikt nie zaprotestował i na tym stanęło. Szczerze mówiąc, cieszę

się. Po pierwsze: nie płynę razem z Markiem, płyniemy dwoma różnymi katamaranami. Tak jest bezpieczniej z punktu widzenia interesów naszej rodziny. Jeśli zdarzy się jakiś wypadek (odpukać), jest szansa, że drugi katamaran wyjdzie z tego cało. Ktoś z nas będzie miał mniej kłopotów. To na wypadek jakiegoś nieszczęścia. Po drugie: mam płynąć czerwoną dwójką z Wołodką. Z tego też się cieszę, gdyż lubię dwójki – w nich lepiej czuję wodę, a także mogę bardziej kontrolować to, co się dzieje z katamaranem. Przynajmniej mam takie złudzenie. A Wołodka? No cóż, może być Wołodka. Co do czwórki, nie bardzo ufam w nasze zgranie jako wiosłarzy z niewielką w sumie praktyką. Chociaż mam nadzieję, że już pierwsze przepłynięte kilometry to zmienia. Nic nie wiemy o Issyk-Sugu. Co nas czeka na tej rzece? Liczę na to, że rozsądek i ostrożność zapewnią nam bezpieczną drogę. Najwięcej moich wątpliwości budzi jakość wykonywanych przez Wołodkę węzłów przytraczających pali ki do burt. Jezu, to nie tak! W jednej chwili stają mi przed oczami węzły na łódkach oraz konsekwencje ich niedobrego wiązania. Tyle lat przepływanych na Finie i mojej ukochanej OK Dinghy na coś się przydają. Szybki instruktaż i Wołodka też już wie, o co chodzi. Mozolnie wiążemy. Czwórka także pracuje: Bułak, Andrzej, Marek i DD. No i została jeszcze żółta dwójka, na której mają płynąć Darek i Jan. Każda załoga pracuje nad swoim katamaranem, niespecjalnie przejmując się pozostałymi. Trochę mnie to boli. Zaczynam się bać, czy te *diagonale*, takie chude i niepozorne, wytrzymają. Pamiętam, co się działo na wodach Ochty i Kiwiristi. Ile siły może być w rzece...

– Rozpiżdzi nam się to na pierwszym progu – prorokuję grobowym głosem.

– *Spakojna, nie rozpiżdzi* – przekonuje Wołodka, naginając na kolanie wilgotne drągi. – To giętkie drzewo i tak szybko nie wysycha. Nic mu nie będzie.

Rzeczywiście, modrzewiowe *diagonale* są bardzo giętkie, jednak wciąż nie czuję się uspokojona. Oczami wyobraźni widzę naprężenia działające na te wątle łączenia. Niemalże słyszę, jak trzaskają niczym zapałki.

– *No szto ty? Trusor!* – lekceważy me obawy mój nowy kapitan, ale to wcale nie dodaje mi otuchy. A poza tym nic nie wiem o moim towarzyszu spływu. Pozostaje mi ufać, że Jan wiedział, kogo wybiera.

Każde łączenie dodatkowo ściskane jest kołkiem, którego końce, po skręceniu i naprężeniu, są unieruchamiane. Dzięki temu naciągowi wiązania są bardzo

ściśle. Jeszcze raz cierpliwie sprawdzamy każde wiązanie. Na przekątnych *diagonalach* będą umocowane nasze bagaże. Jeszcze tylko podpórki pod siedzenie. To też ważne. Żeby wytrzymać kilka, a czasem kilkanaście godzin w pozycji wiosłarskiej, trzeba zadbać o swoją wygodę. To również element bezpieczeństwa. W odpowiedniej chwili musisz być prężny, gibki, mocno się wychylić, po prostu być sprawny, a trudno być sprawnym, kiedy ma się zdrętwiałe mięśnie. Wygoda jest ważna. Teraz jeszcze tylko pompujemy do końca pływaki i gotowe. Jutro pierwszy dzień na wodzie.

Marek wchodzi w jakiś głupi spór z Wołodką na temat widzenia historii Białorusi. Pewnie ma słuszość, ale po co na ten temat dyskutować, zwłaszcza że nie ma szans na przekonanie Wołodki do swoich racji. Poza tym inaczej przedstawia się perspektywa nasza, ludzi innej narodowości, którzy są na zewnątrz, a inaczej tych, którzy stykają się od wewnątrz z tym tworem, jakim jest Białoruś Łukaszenki. Wołodce wiele rzeczy się nie podoba i potrafi o nich mówić rzeczowo, a Jan próbuje znaleźć jakieś dobre strony swojego kraju. I w porządku. Oni tam mieszkają. Dobre strony na pewno też są, mogłoby tylko być ich znacznie więcej. Marek się zżyma.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Taki jesteś mądry... – z przekąsem konstatuje Białorusin.

– Bo stary jestem, dużo książek przeczytałem.

A niech tam! Dla mnie ważny jest teraz mój katamaran i wytrzymałość *diagonalii*. Mam do kogo wrócić i zależy mi na życiu. Wspólna praca rozładowuje napięcia międzynarodowe. W końcu jedziemy na tym samym wózku. Przynajmniej tutaj.

Na koniec dnia wypijamy za pomyślność po kieliszku spirytusu. Jesteśmy szczęśliwi, że przed nami nowa jakość naszej podróży – rzeka.

Od jutra stajemy się Chiem-de, to znaczy „ludźmi rzeki”. Tak nazywają Tuwińcy jedno ze swoich plemion, które – według legendy – uciekając przed Czyngis-chanem, przekroczyło rzekę Ij. Czemu nie chcieli spotkać się z wielkim wojownikiem Temudżynem? Do plemienia tego należeli znakomici łucznicy, którzy nigdy nie strzelali do ludzi. Ze swoimi talentami stanowili niezły kąsek dla wodza nomadów. Ten ścigał ich wytrwale, ale ilekroć próbował przekroczyć rzekę, ona cofała się, a gdy w nią wjeżdżał, zalewała jego wojsko falami.

Powtórzyło się to kilka razy, w wyniku czego utopiło się wielu wojowników, utonął też ulubiony ogier Czyngis-chana. Temudżyn ogromnie się wściekł. Wezwał swojego szamana i kazał mu ukarać rzekę i plemię, które za wodą szukało schronienia. Szaman długo odprowadzał swoje *kamłania*, aż w końcu sprawił, że rzeka nie mogła się ruszyć ze swojego koryta, a wielka burza przyniosła chmary piasku, którymi w całości zasypała jurty krnąbrnego plemienia. Przeżyło niewiele. Od tego czasu szczep ten nie podróżuje, a wiernie trzyma się rzeki.

Od jutra my też będziemy jej wierni. Chiem-de.

